

TYGODNIK ILLUSTROWANY



STUDYUM PORTRETOWE

TEODOR AXENTOWICZ

Przed kilku miesiącami pisaliśmy na tem miejscu o trzech pierwszych seryach nowel góralskich Tetmajera: „Na skalnym Podhalu”. Dziś, kiedy ukazuje się czwarta i ostatnia, godzi się zastanowić, jaką rolę odegrały te utwory w naszym piśmiennictwie.

Nowele podhalańskie Tetmajera są ostatniem ogniwem długiego łańcucha, którego początek stanowią pierwsze nasze utwory romantyczne od roku 1820, t. j. od chwili budzenia się poczucia narodowego w piśmiennictwie. Lud, który w poezji klasycznej albo wcale nie występował, albo zjawiał się rzadko, niby gość przygodny (np. w komediach i operetkach Bohomolca, Książnina, Bogusławskiego, Kamińskiego, czasem w pieśniach Karpińskiego), zaczyna uzyskiwać prawa w literaturze. W różnych miejscach dawnej Rzeczypospolitej jednocześnie niemal rozpoczynają działalność młodzi poeci, którzy za punkt wyjścia swej twórczości biorą lud, jego zwyczaje i obyczaje, wierzenia i podania, uciechy i troski, a wraz z tem następuje różniczkowanie konwencyjonalnego krajobrazu w kierunku uchycenia odrębności miejscowych. Słowem, było to *provincializacja* tak pod względem etnograficznym, jak i geograficznym, wypływająca z ogólnego dążenia młodego romantyzmu, które dałoby się ująć w zwięzłą formułę: przez *lud* do *narodu*.

Nie wszyscy wszakże dojść zdołali do tego ostatniego punktu w rozwoju swej twórczości: pozostali na poziomie ludu, nie wstąpiwszy na wyższy szczebel: narodu.

Nie wszyscy, jak Mickiewicz, umieli „w przyrodzie nowogrodzkiego powiatu odczuć tętno powszechnego jej życia” (Gostomski w monografii o „Panu Tadeuszu”). Stąd też trudno zaliczyć Mickiewicza do „szkoły litewskiej”, do której prędeż już mogliby należeć: Zan, Czeczot, Al. Chodźko, Julian Korsak, Stef. Witwicki. Ale możemy mówić śmiało o „szkole ukraińskiej” (Malczewski, J. B. Zaleski, Goszczyński, z późniejszych Groza, Olizarowski), o „szkole podolskiej” (Maur. Gosławski, Tymon Zaborowski), nawet o „szkole krakowskiej” (Wincenty Reklewski, Andrzej i Kazimierz Brodzińscy); do nich po 1821 r. przyłączyła się jeszcze „szkoła czerwonoruska” (L. Siemieński, A. Bielowski, Dom. Magnuszewski i inni). I później tą drogą szła ewolucja romantyki naszej w jej epigonach: pieśń mazurska przemówiła przez „lirnika mazowieckiego”, Lenartowicza, pieśń litewska znalazła śpiewaka w osobie „lirnika wioskowego”, Syrokomli, pilne gromadzenie pieśni wielkopolskich okupuje ciężkim więzieniem Ryszard Berwiński.

Z wystąpieniem powieści obyczajowej na widowie literacką, ten prąd realizmu w odtwarzaniu przyrody i ludu wzmagają się znacznie: tylko romansom sentymentalnym wolno było umieszczać wdychających i rozkwilonych kochanków „nad brzegami Dniestru”, nie podając ani jednego rysu, któryby te piękne okolice wyróżniał od brzegów Elby, Sekwany, Tamizy lub Gwadalkwiwiru. Już bowiem w powieściach Michała Grabow-

skiego, Michała Czajkowskiego, Ignacego Chodźki, Jana Zacharyasiewicza, T. T. Jeża, a przede wszystkim J. I. Kraszewskiego, pierwiastek lokalny występuje z całą wyrazistością realizmu.

O „szkole podhalańskiej” ani w dobie rozkwitu romantyzmu, ani przy jego epigonach nie słyszeliśmy zupełnie. Pierwszymi poetami, co zwiedzali Tatry, byli w r. 1831 Zaleski i Goszczyński; pierwszy z nich, zasłuchany w tęskną nutę dumki ukraińskiej, nie dał się wzruszyć cudom tej krainy górskiej; drugi na tle wierzeń i podań górskich stworzył poemat „Kościelisko”, trzymany zresztą w zarysach dość ogólnikowych, jak i tło krajobrazowe i etnograficzne w powiastkach: „Oda” i „Straszny strzelec”. Serdecznie też odtwarzał dolę ludu górskiego Wincenty Pol w „Obrazach z życia i podróży” (nie mówimy tu już o pismach prozą, jak „Dziennik podróży do Tatrów” Goszczyńskiego i prace geograficzne Pola). Że akcja drugiego aktu „Konfederatów Barskich” Mickiewicza odgrywa się w Tatrach, że w jednej ze scen fragmentu dramatycznego Słowackiego: „Beniowski”, rzecz dzieje się nad Morskiem Okiem (miejsce to zamieszkuje — Huculi!), że wreszcie Krasiński w Tatrach umieścił akcję dramatu, p. t. „Wanda”, nie może mieć dla nas wcale znaczenia, gdyż żaden z naszych wielkich poetów nigdy ani gór naszych, ani górali na oczy nie widział.

Dopiero poezja po-romantyczna, w dobie, gdy Zakopane stało się modną miejscowością letniczą i kuracyjną, poznała Tatry i — pokochała je, szukając natchnienia zarówno w niezwykłych krajobrazach dzikiej, groźnej przyrody górskiej, jak i w malowniczych postaciach gazdów i juhasów. Między tymi, którzy zaklinali w rymy przyrodę i lud tatrzański, znajdujemy imiona: Adama Asnyka, Maryi Konopnickiej, Franciszka Nowickiego, Felicjana Faleńskiego, z młodszych — Jana Kasprowicza, Kazimierza Tetmajera, Wacława Wolskiego i inn. Jednocześnie Stanisław Witkiewicz i Walery i Stanisław Eliaz Radzikowscy piórem i ołówkiem ilustrują tatrzańskie motywy krajobrazowe, Władysław Matlakowski zbiera motywy architektoniczne i zdobnicze ludu podhalańskiego, układają się słowniki gwary podhalańskiej (Dembowski, Kantor, Stopka, Kryński i Kosiński), gromadzą pieśni, baśnie i podania ludowe.

I obecnie też bez przesady mówić możemy o „szkole podhalańskiej”, której ostatnim wyrazem jest, obok zbioru nowel i obrazków Witkiewicza „Z Tatr”, „Na skalnym Podhalu” Tetmajera. Są to, powiedziec można, najbardziej krańcowe objawy provincializacji powieści naszej. Jest to wycucie się z wszelkiego konwencyjonalizmu w sposobie przedstawiania ludu, który datuje się u nas od operetek Książnina i „Krakowiaków i Górali” Bogusławskiego; w „Wiesławie”, w „Dziadach”, w „Dumkach”, w „Zamku Kaniowskim”, w powieści polskiej od Kraszewskiego do Prusa i Sienkiewicza, Orzeszkowej i Konopnickiej lud przemawia

jeszcze, w większym lub mniejszym stopniu, nie po swojemu, lecz — po literacku, z pewną przymieszką gwary. Nawet w „Chłopach” Reymonta mowa ludu jest stylizowana.

Dopiero w nowelach Tetmajera i Witkiewicza brak wszelkiego konwencyjonalizmu; nie tylko dialog, ale cały tekst pisany jest gwarą podhalańską. Byłoby jakieś łyk-inteligent bez słowniczka nie wszystko zrozumie.

Stoimy u samej rubieży literatury polskiej. Jeszcze jeden krok — a znajdziemy się poza jej granicą. Czyżby to było dążenie do stworzenia polskiego *langue d'oc'u* lub polskiego *platt-deutsch'u*? Czyżba jednolita dotąd literacka mowa polska miała się rozczłonkować na tyle odłamów, ile narzeczy i gwar na ziemi się polskiej rozlega? Dział mówić o tem, oczywiście, jeszcze przedwcześnie. Sądźmy jednak, że jest to już ostatni krok, który możemy uczynić na tej drodze, jeżeli chcemy być w zgodzie z nacelną zasadą naszej twórczości literackiej XIX stulecia: przez lud do narodu.

Jedną ma wielką zasługę nasza literatura podhalańska. Powyżej wymieniona zasada nie jest pełną syntezą naszej literatury porzoborowej. „Przez lud do narodu, przez naród do człowieczeństwa” — takby raczej brzmieć powinna ta synteza. Przyznać należy, że beletrystyka góralska zdążyła ze wszelkich sił do tego ostatecznego kresu, w duszy górala usiłuje wyczytać, jak mówi Malczewski w „Maryi”, „też same zawsze troski wygnańca-człowieka”. I w ostatnim też tomiku Tetmajera odnajdziemy piękne i głębokie pod tym względem utwory, jak np. „Szczepan bez ziemi”, gdzie z taką tragiczną siłą wybucha żywiołowa miłość chłopca ku ziemi i szalona zawiść względem tych, którzy jej więcej posiadają, jak „O Wojtku cudaku”, który zamyka długi szereg pięknych, subtelnych postaci wykolejenców-marzycieli, których tytuł we wszystkich czterech seryach „Skalnego Podhala”, jak zwłaszcza „Murzański”, ów chłop o sercu przestronnym i szlachetnym, co sąsiadom siano kradnie, a karmi zgłodniałe sarny zimą. Zaiste! jednakie wszędzie serce bije, jednakie kłębią się w niem namiętności. Nasza literatura najnowsza ma tę niezaprzeczoną zasługę, że pojęcie nasze o „wygnańcu-człowieku” znakomicie rozszerza (egzotyzm Sieroszewskiego) i pogłębia (ludowość Reymonta, Żeromskiego, Tetmajera i wielu innych).

A najlepsze ze wszystkich postaci podhalańskich Tetmajera są, obok juhasów-zbójników, „głupi”, lekceważeni, okryci wzgardą przez tych, co się sami za „mądrych” uważają (podobny typ przedstawiła Konopnicka w noweli „Głupi Franek”); ci „głupi” to najczęściej filozofowie, marzyciele, poeci, nie uznani przez trzeźwe, realnie patrzące na rzeczy otoczenie. Niewątpliwie w tym procesie pogłębiania duszy narodowej nowele tatrzańskie odegrały poważną rolę.

Tak więc — przez lud do narodu, przez naród do człowieczeństwa!

HENRYK GALLE.



TURNIEJ ŚREDNIOWIECZNY XV WIEKU

WIKTOR MAZUROWSKI

MICHAŁ VÖRÖSMARTY:

STARY CYGAN

ŁABĘDZIA PIEŚŃ POETY.

Graj, cyganie! Za cóż poję ciebie!
 Nogom próżno skakać nie w zwyczajul
 Mam się gryźć o wodzie i o chlebie?
 Do szklanicy lejże mi tokaju!
 Niestateczność treścią jest żywota,
 Naprzemiany: pogoda i słońca;
 Graj-że! Kto wie, co nam los przeznaczy,
 Rychło smyk się zmieni w kij tułaczy;
 Troska w sercu, a w szklanicy wino—
 Graj, cyganie! Precz niech troski giną!

Twoja krew wrzeć winna drożdży warem,
 Krążyć winien mózg, drzeć szpik twych kości,
 Wzrok komety płomienić się żarem,
 A struny—grzmieć huraganem złości,
 Siejba gradu ostrą, przeraźliwą...
 Już się ludzkie dokonało żniwo.—
 Graj-że! Kto wie, co nam los przeznaczy,
 Rychło smyk się zmieni w kij tułaczy;
 Troska w sercu, a w szklanicy wino—
 Graj, cyganie! Precz niech troski giną!

Niech melodyi ciebie piorun uczy,
 Co okrętom rozwiązuje pęta,
 Jęczy, wzdycha, gromi, błyska, huczy,
 A zabija ludzi i zwierzęta...

Bo goreje świat, wojną objęty—
 Wzdryga się Grób Boży w Ziemi Świętej!
 Graj-że! Kto wie, co nam los przeznaczy,
 Rychło smyk się zmieni w kij tułaczy;
 Troska w sercu, a w szklanicy wino—
 Graj, cyganie! Precz niech troski giną!

Czy to jęczy kto? Czy to kto płacze?
 Czy to młyna piekielnego męka?
 Czy to do wrót nieba kto kołacze?
 Czy to komu serce z bólu pęka?
 Zali to jest złorzeczenie klęski?
 Zali to nadziei hymn zwycięski?
 Graj-że! Kto wie, co nam los przeznaczy,
 Rychło smyk się zmieni w kij tułaczy;
 Troska w sercu, a w szklanicy wino—
 Graj, cyganie! Precz niech troski giną!

Zali to wygnańca pierwsza skarga
 Nie uderza w głuche rajy wrota?
 Zali brat na brata się nie targa?
 Zali pierwsza nie płacze sierota?
 Zali na biesiadę sęp wyrusza?
 Wieczna-ż męka to Prometeusza?
 Graj-że! Kto wie, co nam los przeznaczy,
 Rychło smyk się zmieni w kij tułaczy;

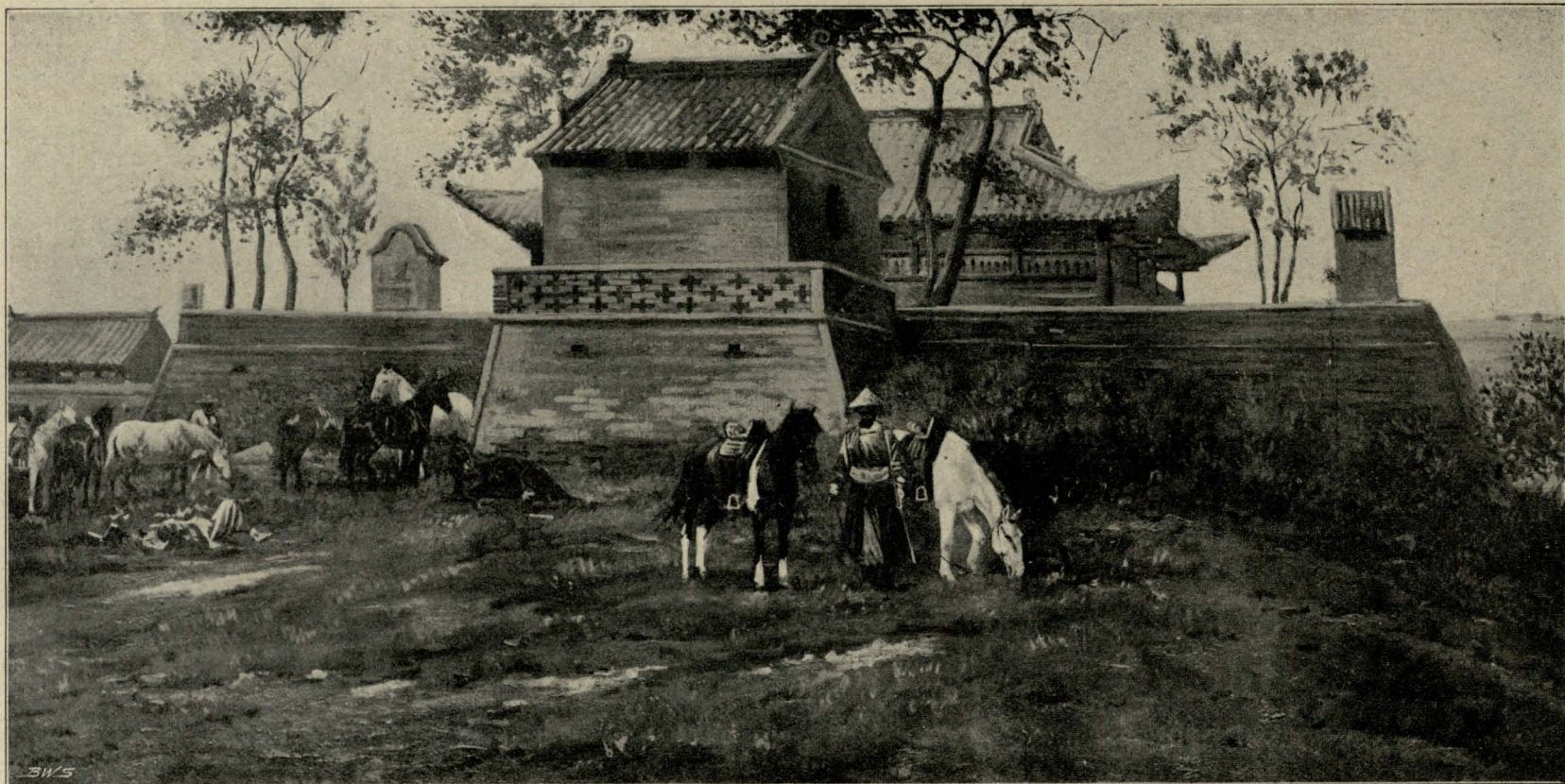
Troska w sercu, a w szklanicy wino—
 Graj, cyganie! Precz niech troski giną!

Pozwól ziemi, owej gwiazdzie ślepej,
 Dalej w gorzkiej swej posoce brodzić
 I, w wędrówce przez płomienne stopy,
 Swoje zbrodnie i występki płodzić,
 Póki z łona arki, w przyszłe lata,
 Lepszego nie powitamy świata.
 A więc graj! Kto wie, co los przeznaczy,
 Rychło smyk się zmieni w kij tułaczy;
 Troska w sercu, a w szklanicy wino—
 Graj, cyganie! Precz niech troski giną!

Graj!—lecz nie. Niech spoczną twe skrzypice.
 Światu kiedyś błysną Święta zorze!
 Gdy się już wyczerpią nawałnice,
 A niezgoda gdy się w walkach zmoże.
 Wtedy zagraj tak, by pieśń nieboga
 Szła do węgierskiego Pana Boga...

Wtedy, w blaskach szczęścia łuny,
 Podnieś smyczek, uderz w struny...
 Jak poranek skroń ci zajaśnieje—
 Graj!—ze światem niech, co chce, się dzieje!

Przełożył WŁADYSŁAW NAWROCKI.



ŚWIĄTYNIA CHIŃSKA BOGA WOJNY „KIAO MIAO” W LAOJANIE
Z cyklu obrazów „Wojna japońska”

WIKTOR MAZUROWSKI

BOLESŁAW PRUS:

DZIECI

POWIEŚĆ.

26

Głupstwo też zrobiłem, żem posłuchał tego bydlaka Vogla i wyprowadziłem chłopców, licho wie po co, do lasu... No, ale przespacerowali się na świeżym powietrzu i zostali na zawsze zwolnieni... Już ja ich drugi raz nigdzie nie poprowadzę!

Może wypadałoby pojechać teraz do miasta?... Po co?... Studenterya rozbiegła się na święta... mieszczenie wrócili do warsztatów... Ci chyba krzywdy nie mają... dostali po sześć rubli z góry na chłopca, a nie wydali nawet na furmanki...

W dodatku poznałem niestychany dom i nadzwyczajną gospodynię... Namówię stryja, ażeby tu kiedy przyjechał. A gdyby tak staremu Linowskiemu wydzierzawić folwarczek, a panią poprosić o urządzenie podobnego ładu u nas, rozumie się, za odpowiednim wynagrodzeniem?... Ośle jakiś, zwymyślają cię i starzy, i młody i zerwą wszelkie stosunki... Nie będzie łatwo znaleźć dla nich prezent“...

Tak myśląc, starał się rozweselić, uśmiechał się, a jednak czuł, że coś mu dolega...

„Oprócz Linowskiego — mówił do siebie—krzywdy nie zrobiłem nikomu.. Owszem, odciągnąłem ich od napadu na kasy, co niejednego mogłoby zaprowadzić na szubienicę... Który z nich zechce wojować w taki sposób, może połączyć się z Pędzelkiem; inni nie tracą, zaczekawszy do wybuchu rewolucji w Rosji“...

Nagle zerwał się z łóżka... Już wie, co go dręczyło!... Przypomniał sobie odczyt, na którym on sam, nie kto inny, publicznie

wykładał, że: dowódca jest, jako człowiek pojedynkujący się, a jego oddział to niby broń, której nie wolno porzucać na drodze!...

„Zrobić dobry plan i wykonać bez wahania, bez względu, co będzie kosztował, oto zasadnicze obowiązki wodza...“ Czyliż to nie jego słowa?... I czy nie przy każdej sposobności powtarzał kolegom, że: wojsko regularne różni się od band rozbójniczych nie tylko szlachetnymi celami, ale poświęceniem żołnierzy, rozważą wodza i—nieograniczoną solidarnością obu stron? Czem jest wojsko bez dowódcy?... Chaotyczną kupą ludzi... A czem bez wojska staje się dowódca, jeszcze taki, który podkomendnych opuścił w lesie i... odjechał pielęgnować chorego?...

Z kolei przyplął nowy prąd myśli. Z jakiej racji Świrski oskarża się tak niesłusznie?... Czy nie powiedział Voglowi, że: pod żadnym pozorem nie obowiązuje się nie tylko zdobyć kas, ale nawet napadać na nie, ponieważ nie ma sił odpowiednich?... A czy równie jasno nie oświadczył kolegom, że wyjście do lasu jest dopiero próbą, w której można brać, a można i nie brać udziału?... Jeżeli zaś uwolnił ich bez wielkiej ceremonii, czyliż nie oszczędził kompromitacji tym, którzy nie przybyli na stanowisko?...

Prawda, że w lesie działał bez namysłu, pod wpływem współczucia; ale czy ono nie wskazało mu drogi najwłaściwszej? „Nic z was nie będzie, więc—możecie się ro-

zejść!...“ oto sens jego zachowania się wobec zebranych. On nie rzucił broni, tylko pozbył się drewnianego pałasika, który los podsuwał mu zamiast rzeczywistego oręża...

„Gdybym mógł przewidzieć zakończenie, nie wdałbym się w podobną awanturę!“ —rzekł Świrski do siebie.

Już nie czuł wyrzutów, ale niesmak i gniew niewiadomo na kogo.

Tak medytował Świrski, ale z dumami swoich nie zwierzał się Władkowi. Ciągłe byli razem, bądź chodząc po lesie, bądź oglądając nowe szczegóły gospodarstwa pani Linowskiej, ale Władek nawet nie przeczuwał walki, toczącej się w sercu przyjaciela. Tylko w poniedziałek po obiedzie Świrski odezwał się tonem rozdrażnionym:

— Może pojechalibyśmy do Słomianek?...

— Owszem — odparł Władek i kazał zaprzędz konia.

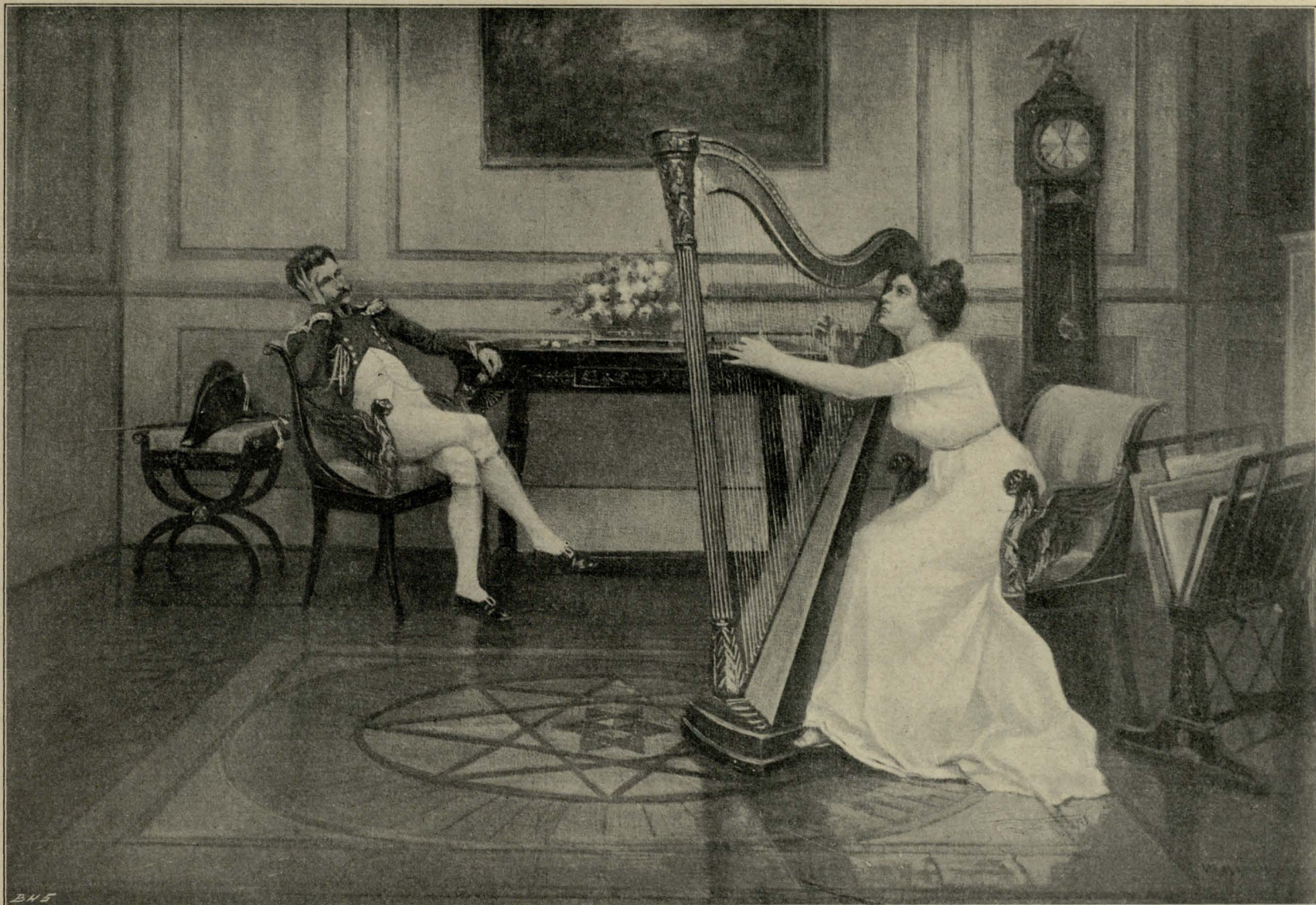
W pół godziny stanęli na miejscu i od gajowego, który był wtajemniczony, dowiedzieli się, że w piątek wieczorem wszystko odbyło się dobrze. Zebrani rozjechali się, jedni w stronę miasta, inni w kierunku Żelaznych Hut.

— Broń oddali?... —zapytał Świrski.

— Nie wszyscy—odpowiedział gajowy. — Studenci oddali, ale trzech z miasta to wzięli ze sobą brauningi i karabinek...

— Kto wziął karabinek?... — przerwał z gniewem Świrski.

— Taki wysoki... tęgi... Pan naczel-



PIEŚŃ

WIKTOR MAZUROWSKI

nik z nim najwięcej gadał... (Gajowy Świrskiego tytułował: naczelnikiem).

— Czy nie Zajac?... — wtrącił Linowski.

— On... on!...—odpowiedział zamyślny Świrski.—Tylko... po co on wziął... do czego zresztą nie miał prawa?...

„A co zrobić z pozostałą bronią?... — zapytał samego siebie. — Trzeba jak najprędzej darować ją Voglowi albo Pędzelkowi i zatrzeć materyalny ślad związku Rycerzy wolności... Nieszczęśliwych rycerzy jeszcze nieszczęśliwszej wolności“...

W drodze do leśniczówki Władek już był wesoly, Świrski wciąż zamyślny.

— Muszę—odezwał się — napisać kartkę do stryja... Nie znajdziesz jakiego posłańca?...

— Sprowadzimy ze wsi Kobielaka, albo Nowackiego—odrzekł Władek.—To nasi...

Po powrocie na Leśniczówkę Świrski przygotował list do stryja, zawiadamiający, że przyjedzie dopiero za parę dni. Tymczasem sprowadzono Kobielaka, który przed godziną wrócił z miasta powiatowego i przywiózł nowiny.

— Po drodze spotkało mnie jakichś dwóch i kazali się podwieźć do lasu żabiańskiego. Mówili, że w gubernii coś się stało i że niedługo dowiemy się ciekawych rzeczy. Najwięcej obeszło mię, że wspomnieli o panu Świrskim... Ale bałem się ich wy-

pytywać, bo czy to człowiek wie, na kogo się natknie?

Ani Świrski, ani Władek nie zainteresowali się opowiadaniem chłopca. Nieznajomi mogli rozmawiać o stryju Świrskiego, a w mieście X. mogło zdarzyć się nowe zabójstwo, co już nie dziwiło nikogo.

Nareszcie we wtorek po południu przyjechał niecierpliwie oczekiwany doktor Dębowski. Wszyscy wybiegli naprzeciw niego z wymówkami, że tak długo kazał czekać na siebie, choć telegram o chorobie Linowskiego wysłano w sobotę.

— Dopiero w Żelaznych Hutach dowiedziałem się, że Józef naprawdę chory — odpowiedział doktor. — A do waszego telegramu nie przywiązywałem wagi, gdyż umówiliśmy się jeszcze w piątek z Józefem, że wezwie mnie telegraficznie... Ja także — szepnął pani Linowskiej—przywoziłem około trzydziestu tysięcy rubli do Hut, ale bez wypadku. Cóż to się stało mężowi?...

Pani Linowska w niewielu słowach opowiedziała historię napadu w lesie i dziwnego zachowania męża, który wyglądał, jakgdyby (Boże, odpuść!) miał bzika, albo był pijany...

Dębowski targnął się za brodę.

— Acha!... czekajno pani dobrodziejka... zaraz się to wyjaśni...

Pobiegł do pokoju Linowskiego i po krótkim przywitaniu zapytał:

— Słuchaj no, stary, a coś ty zrobił z wódką, którą ci dałem na drogę?...

— No... wypilem...—odparł zdziwiony, ale już całkiem przytomny podleśny. — Cóż? miałem wylać?...

— Bój się Boga!...—stęknął doktor — toż to była pięćdziesięcioletnia starka, którą pije się po kropelce... Masz głowę, jak żelazna kufa!... Ale nie dziw się, że ci trochę padło na mózg i żeś wyrabiał brewerie...

— Wiesz, kolego... prawda!... A ja myślałem, że m zwaryowałem... Bo pomyśl: napada mnie banda, a na czele jej kto?... mój Władek... Czy nie można było zwaryować?...

Dębowski przerwał mu i wziął się do badania. Po kwadransie oglądań i opukiwań powiedział, że jest wszystko dobrze, ale że podleśny powinien na parę tygodni wyjechać z domu, najlepiej z Władkiem i najlepiej do zięcia Linowskiego, który trzymał dzierżawę nad granicą austryacką.

— Dlaczego ja mam wyjeżdżać i jeszcze przed samymi świętami?...—zdziwił się podleśny.

— Dla trzech powodów: najprzód, że ja ci tak radzę... powtóre, że musisz odpocząć, zaś w tych stronach niema spokoju, a po trzecie—ażeby Władka nie capnęli do kozy. Zrozumiałeś?...

(DCN)



POJEDYNEK KOZAKA Z UŁANEM NAPOLEOŃSKIM

WIKTOR MAZUROWSKI

JAN LEMAŃSKI: P R A W D A .

1)

Wiem, że pani lubi prawdę, samą prawdę i tylko prawdę, jak w formularzu przysięgi. Wiem, że panią razi wszelka zmyśloność, wszelka wymyśloność, wszelka wymyślność, wszelka myślność, zmyślność, umyślność i domyślność, że oburza panią wszelkie zamyślanie, pomyślenie, zamysł wszelki i wszelka nakoniec *myśl*. Życie bez myśli nazywa pani życiem pomyślnem! Pomyślne to pani życie wyzbyte jest ze wszystkich słów, z myślą związanych, prócz jednego: wymyślania na wszystko, co nie jest prawdą, samą prawdą i tylko prawdą, jak w formułce przysięgi sądowej. To, co nie jest prawdą sądową, albo hipoteczną, to, co nie leży w sferze notarycznej i notaryalnej, to wszystko podlega wymyślaniu pani, jako rzecz, przez ogół po-prawny i po-myślny nie przyjęta.

Słyszałem, że, kiedy podobno mąż całuje panią w uszko, pani wymyśla, że jakto można być takim i łamać tak niezbitą prawdę, samą prawdę i tylko prawdę, że uszko jest do słuchania, a nie do tego, iżby

je całować. Ta wymyślność powinna być sądownie karana. Bo, jeżeliby zejść z tej wytkniętej i przyjętej raz na zawsze i ustalonej drogi ku prawdzie, że uszko jest nie do czego innego, tylko do słuchania, i jeżeliby od tej prawdy zboczyć, bądź w lewo, bądź w prawo, bądź w górę, bądź na dół raz, to gdzieżby się ta wymyślność, ta zmyślność, ta zmyśloność, ta bajeczność, ta nieprawdziwość całująca gotowa skończyć?

A może to tylko na panią plotki? Może panią *takie* zboczenie i *taka* wymyślność nie razi? Może w tej sferze, w sferze całowania, robi pani dla wymyślności, zmyślności i domyślności też wyjątek? Może w pani życiu pomyślnem chodzi o to właśnie, aby myśl nie dotykała innych sfer ponad tę sferę pocałunkową i nie pogłębiała? Może pani chodzi tylko o to, aby „zmyślanie“ tyczyło się jedynie „zmysłów“? Może myśl ma jedynie za cel zmyślanie rzeczy, rozwijających smak podniebieniowy (Boże, broń: podniebny!)? Może myśl obowiązana tylko wykształcać węż do-praw, przy-praw, za-

praw, wy-praw i innych obiektów prawnych? Może myśl powinna wydelikacować słuch uszu jedynie na to, aby je przerobić w *stuchy*? Może myśl ma za zadanie wysilać się nie na to, aby oko widziało naokoło, tylko na to, iżby wynajdować ulepszone systemy klap, chroniących ten organ od zbaczania z ubitej, utartej, notorycznej i notaryalnej drogi, po której kroczy prawda, sama prawda i tylko prawda? Może nakoniec myśl ma za cel frasować się o te rzeczy jedynie, które już objął dotyk?... o te rzeczy, które są dotknięte, wytknięte, zatknięte, zetknięte, utknięte?... o rzeczy, które już utknęły, które już ktoś wytknął, w które już coś ktoś zatknął, w które już ktoś coś wetknął?... Może podług pani myśl zbacza z prawej drogi, jeżeli się zajmuje rzeczami poza dotykiem — rzeczami, których jeszcze nikt nie tknął, których jeszcze nie dotknęło?... Czy myśl, według pani, ma tkwić w rzeczach już wytkniętych, a rzeczy nowe, rzeczy nie słychane, nie widziane, rzeczy nie wywęszone, rzeczy nie wysmakowane,



RYNEK WE LWOWIE

F. M. WYGRZYWALSKI

rzeczy nie tknięte mają być dla myśli naszej nieprawdą? ma po nie myśl nasza nie sięgać? a my mamy czekać, aż ktoś inny, po nie sięgnawszy, zatknie w nie swoją flagę, wytknie w nich swoje drogi i nam je utkane już i zatkane wetknie? O pani?

Pewnego razu mąż pani, czy bodaj ktoś inny, widząc, że pani czyta bardzo brudną i wyświechtaną książkę z pożyczalni, wyraził się o tem zjawisku żartobliwie, lecz i z pewnem ubolewaniem.

— Niema u nas — mówił — tej przyjętej prawdy, a raczej tych prawd, a mianowicie: *primo*, robiąc coś, dobrze jest mieć ręce czyste (u nas się ma ręce czyste wtedy tylko, gdy się nic nie robi, ponieważ ci, którzy nic nie robią, ci od wszystkiego ręce umywają, ale o to mniejsza); *secundo*, książka po kilkunastokrotnem przeczytaniu przez czytelników, nawet mających ręce czyste, nie może nie być zbrudzoną, i czytelnik kilkunasty i pierwszy już ją z tym brudem otrzyma i taką musi czytać (myłby sam co pięć stron ręce, czyby nie mył); *tertio*, zamiast takich brudnych z czytelników pożyczonych książek przeczytać dwadzieścia pięć na tydzień (ponieważ się trzeba śpieszyć [bo płaci się, a pieniądz drogi (a można zmieniać książki codziennie)] — lepiej, zdrowiej, pożyteczniej, a więc i oszczędniej nawet, i nadewszystko dla myśli korzystniej, *pomyślniej* jest kupić na własność i przeczytać książkę na dwadzieścia pięć dni *jedną*.

Pamięta pani, jak te mniemane prawdy

oburzyły duszyczkę pani? Boć, kupując rzecz, musimy, chcąc nie chcąc, mieć do czynienia z myślą. Musimy namyślać się, co kupić wogóle? co w szczególności? czy kupić tę książkę, czy tamtą? dlaczego tę, a nie inną? jaka jest książka? co o niej mówią? czy warto, abyśmy my sami wiedzieli, co o niej trzymać? na co nam się przyda zajmowanie się tą książką? co zrobimy z nią, przeczytawszy? czy ją położymy na stole rodzinnym? czy ją wyrzucimy? czy pożyczymy komuś? czy ją dołączymy do klejnotów familijnych i przekażemy synom, córkom i wnukom? czy ta książka zawiera prawdy nam znane, albo też im przeczy i urąga? czy wogóle istnieją prawdy inne oprócz nam znanych? skąd się biorą prawdy? czy prawdy rodzą myśl? czy myśl rodzi prawdy? czy może być prawdziwą myśl, wymyślająca prawdę nową, która starej przeczy? jak lepiej żyć: czy bez praw ustatkowanych, a z myślą? czy też z prawdami ubitemi (u-b-i-t-e-m-i-l p-o-b-i-t-e-m-i-l z-a-b-i-t-e-m-i-l), z uśmierconemi prawdami żyć i bez myśli?... Tych wszystkich pytań namolnych unika człowiek, pardon, unika pani, abonując książki brudne, wyświechtane i czytając ich po dwadzieścia pięć sztuk na tydzień.

Czytać książkę czystą i nową i swoją jest jakoś właśnie „nie swojo“. Człowiek, pardon, pani ma wrażenie jakiegoś samotnego pionierstwa, jakiegoś zuchwałego ryzyka, jakiejś wyprawy kolumbowej ku nieznanym lądom, jakiegoś zrywania z ubitem życiem, utartem i tak smacznie zbrudzonem,

a puszczania się po czystych, nie dotykanych, nie wysmakowanych, nie wywąchanych, nie wypatrzonych, nie słychanych... stronach!

Ale człowiek... *pardon* — pani woli rozkosze inne. Woli pani smakować i rozsmakowywać się w książkach czytelnianych, przesiąkniętych użyciem, powystrzępianych, z podkreślonymi, podznaczonymi ustępami tłustymi, w książkach, po których tak łatwo przebiegać oczom i ślizgać się w tłuszczu prawdy, samej prawdy i tylko prawdy.

I jak można przeciwko tym tłuszczowym prawdom występować? Jak można na zwyczaj pożyczania i czytania brudnych i tłustych książek, na ten zwyczaj taki nasz i taki kochany powstawać? Wszakże ja, mówiła pani, wypożyczałabym swoje wszystko, wszystko — niech brudzą.

— Czy jednak naprawdę wszystko? — spytał mąż pani.

Na tak znaczące pytanie, na które odpowiedź musiała decydować, o ile teoretyczna pani rozpożyczalność zbliża się ku prawdzie praktycznej, zamyśliła się pani (jednak zamyśliła!) i po namyśle rzekła:

— No, może nie wszystko, ale pewną część.

— Mianowicie?

Tu, zamiast odpowiedzieć: pięć ósmych, sześć dziewiątych, trzy czwarte lub ćwierć, słowem, zamiast odpowiedzieć cośkolwiek określeńszego i podobniejszego do matematycznej, ścisłej prawdy, zakłopotana się pani i zamyśliła (znowu!). (DN)

BATALISTA POLSKI.

Wiktor Mazurowski rodził się w Warszawie r. 1860, jako syn udarowanej i popularnej artystki dramatycznej. We wczesnym już wieku okazał niepospolite zdolności malarskie, wstąpił do szkoły rysunków w Warszawie, następnie do Akademii Sztuk pięknych w Petersburgu, którą skończył ze złotym medalem oraz ze stypendyem na podróż zagranicę.

Zwiedził Paryż, Londyn, Holandję, Włochy, Hiszpanię, w Niemczech pracował czas niejaki pod kierunkiem wybitnych mistrzów monachijskich, zwiedził Berlin, Danię, Szwecję i Norwegię.

Talent Mazurowskiego wczesnie się wykłarował i wskazał artyście najodpowiedniejszą drogę: barwne i pełne ruchu sceny wojenne od początku najbardziej pociągały fantazję jego. Lecz batalistyka jest najtrudniejszym może rodzajem malarstwa, wymaga oprócz wielkich zdolności także olbrzymiej pracy i studyów przygotowawczych. Mazurowski w ciągu lat całych stale towarzyszył wojskom na manewrach, robiąc szkice z natury, jednocześnie zaś z wielką sumiennością oddawał się studyom nad mundurami.

Jedno z ważniejszych dzieł jego to obraz wielkich rozmiarów, odtwarzający pełną romantyzmu scenę z XV wieku: „Turniej”. Świetne pod względem kolorów, niezrównane w ruchu, dzieło to posiada już te zalety, które w wysokim stopniu odznaczają się późniejsze dzieła artysty: ścisłość historyczną. Nic tu niema operetkowego, wszystko jest prawdziwe, w najdrobniejszym nawet szczególe. Wszystkie zbroje są skopiiowane podług autentycznych wzorów z wielkich zbrojowni, kobierzec przed lożą królewską odtworzony podług średniowiecznego oryginału, tak samo stroje heroldów, giermków i uroczych dam, przyglądających się z balkonu rycerskim igrzyskom. Architektura przypomina nieco piękny dziedzieniec w bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. Niestety, jest to jedno

dzieło tego rodzaju, które stworzył artysta. Czasy późniejsze z ich masowym ruchem wojsk bardziej podniecały fantazję jego, i zwrócił się ku wielkiej epopei napoleońskiej. Nie będziemy wyliczać wielkich bitew, odtworzonych pendzlem mistrzowskim, wymienię tu obraz, przedstawiający moment o niezmiernem napięciu dramatycznym: „Pojedynek między kozakiem a ułanem”. Dzieło to, wystawione przed laty w Petersburgu, zwróciło ogólną uwagę kół artystycznych i ugruntowało sławę naszego malarza.

Obraz zakupiony został przez Cesarza. Tu raz jeszcze podkreślić wypada jedną z głównych zalet: ścisłość historyczną w oddaniu mundurów i t. p. akcesoryi, co zresztą podnosi tylko wartość artystyczną obrazów. Mazurowski, śmiało można powiedzieć, jest jednym z najlepszych znawców mundurów polskich z epoki Napoleona oraz 1831 r., posiada w pracowni swojej niezmiernie cenne materiały.

Oprócz obrazów batalistycznych, Mazurowski stworzył kilka prześlicznych scenek rodzajowych, raczej salonowych, z czasów cesarstwa, pełnych elegancji i ściśle stylowych.

Tragedya krożańska natchnęła artystę do pełnego grozy obrazu.

Epoką w życiu Mazurowskiego była wojna japońska, na którą podążył, pełen zapału, nie bacząc na niebezpieczeństwa. Materiały, które z sobą przywiózł, mogłyby stanowić osobne muzeum. Naturalnie zajęć musiała pewna zmiana w twórczości artysty. Zamiast junackich postaci oficerów napoleońskich, idących na bitwę, jak w płas, rzeczywistość realna, wstrętą czasem, pokryta pyłem i krwią. Obrazy te straciły dużo poezji, zyskały na prawdzie. Z przywiezionych materiałów artysta stworzył cykl potężny, odtwarzający grozę wojny społecznej. Kilka tych obrazów zakupionych zostało przez Cesarza, kilka odtworzył także w swo-

im czasie *Tygodnik Ilustrowany* („Powrót z pod Mukdenu” i „Wilczy dół”). Prócz obrazów wojennych przywiózł artysta z dalekiej wyprawy kilka udatnych krajobrazów, kilka charakterystycznych motywów budownictwa chińskiego w Mandżurji, między innymi świątynię Boga wojny Kiao-Miao.

Późniejsze krwawe lata rewolucji natchnęły kilka razy artystę do dzieł, zaczerpniętych z chwili bieżącej; więc mamy tu „Oczyszczenie placu”, kozaków, pędzących przed sobą tłum robotniczy na placu fabrycznym. Obraz ten również był reprodukowany w *Tygodniku*. Dalej pełna życia scena rewolucyjna na placu przed katedrą Kazańską w Petersburgu. W tych dziełach, bardziej jeszcze niż w obrazach z wojny japońskiej, szara rzeczywistość przygniata wrodzony talent artysty.

Burzliwe fale rewolucji ukołysały się, marta nastąpiła cisza. I oto w duszy artysty naszego słodkim echem zagrała stara piosenka:

„Tam na błoni błyszczą kwiecie,
Stoi ułan na widcie”.

Gdy zwiedzałem niedawno pracownię Mazurowskiego, na stalugach ujrzałem takiego ułana... ale to do czasu jeszcze sekret.

Nadmienić jeszcze muszę, że artysta nasz świeżo otrzymał bardzo zaszczytny i — jak sądzę — korzystny obśtalunek. Jest zwyczajem, że każdy z panujących cesarzów rosyjskich zamawia serwis historyczny, który zostaje wykonany w cesarskiej fabryce porcelany, motywów zaś malarskich dostarcza najzdolniejszy ze współczesnych malarzy. Obecnie z pośród kilku ubiegających się, Rosyan, Niemców, Francuzów, rodak nasz odznaczony został tem zamówieniem. Ma on dostarczyć scenek wojskowych do 98 talerzy. Część została już wykonana, serwis będzie unikatem, będzie też nazywać się serwisem Mazurowskiego.

J. OBST.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT:

CHŁOPI. LATO.

26)

Zmęczony się czuł, w głowie mu szumięło, i kurz zapierał gardziel, że przysiadł pod krzyżem w cieniu brzołek, ułożył na karpocie śpiącego Pietrusia i, obcierając rzęsisty pot, zapatrzył się we świat i zamedytował.

Słońce skłoniło się nad bory, i pierwsze lękliwe cienie wyłoniły z pod drzew, czołgając się ku zbożom. Bór cosik gwarzył z cicha czubami, płonącymi w słońcu, a gęste podszycia leszczyn i osik trzęsły się, jakby w zimnicy. Dzięcioły kuły zawzięcie, i kajś daleko skrzeszały sroki. Czasem, między omśzałymi dębami zamigotała żońna, jakby kto cisnął kłębkiem zwiniętej tęczy.

Chłód zawiewał z omroczonych, cichych głębin, tylko kajś niekaj podartych słonecznymi pazurami.

Zalatywało grzybami, żywicą i rozprazonym bajorem.

Naraz jastrząb wyprysnął nad las, zatoczył krzyżem nad polami, ważył się chwilę i spadł, kiej piorun, we zboża...

Antek porwał się bronić, ale już było zapóźno, posypała się kurzawa piór, zbój uciekł, jękliwie zakrzyczyły knropatki, a jakiś zajaczek zestrachany gnał kajś na oslep, jeno mu białało podogonie.

— Jak se to wypatrzył! Rabuś jucha! — szepnął, siadając z powrotem — cóż, kiej i jastrząb musi się pożywić, i choćby ta glista najmarniejsza. Takie już urządzenie na świecie! — medytował, okrywając pietrusiową gębusię, gdyż pszczoły brzęczały nad nią zawzięcie, a jakiś kosmaty trzmiel buczał nieustannie.

Spomniał sobie, jak to jesczek niedawno wydierał się na wolę, do tych pól, jak mu to dusza dziw nie uschła z tęsknicy!

— Wymęczyły me ścierwy! — zaklął, nie ruchając się już z miejsca, bo tuż przed nim, z żyta wyściubiały lękliwe głowy przepiórki, nawołując się po swojemu, ale w mig się pokryły, gdyż cała banda wróblego narodu spadła na brzozy, stoczyła się w piach, jaz-

gocząc zapamiętałe, tłukąc się, a bijąc i swarząc, aż ścichły nagle, przywierając do miejsc, jastrząb znowuj zakołował i tak nisko, jaże cień leciał po zagonach.

— Dał wam radę, pyskacze! Akuratnie bywa takusieńko z ludźmi! więcej zrobie z niejednym pogrozą, niżli skamłaniem — rozważał.

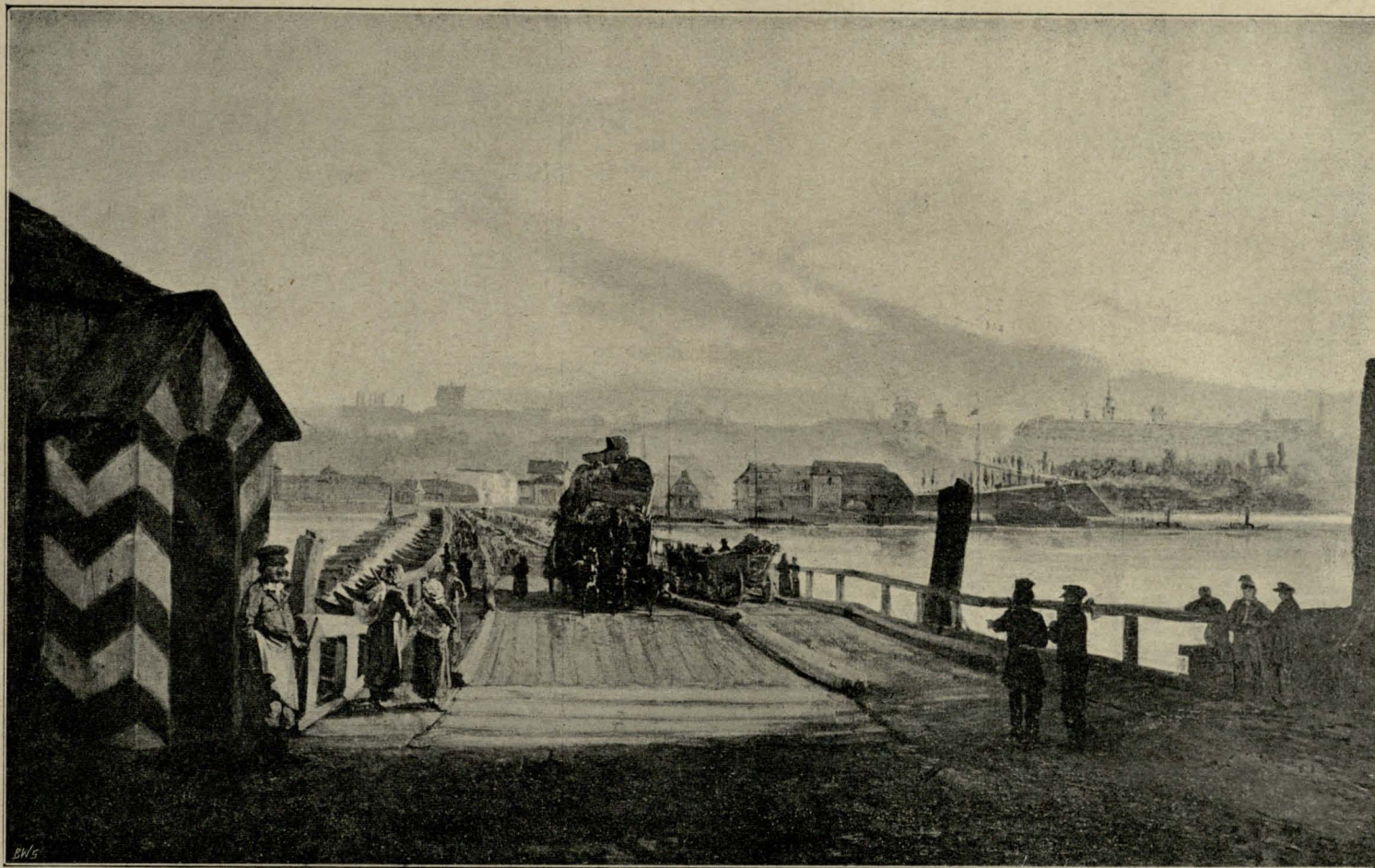
Pliszki się pokazały pobok, na drodze, trzęsły ogonami, szwendając się tak zbliżka, iż, skoro poruszył ręką, odleciały za rów.

— Głupie! Mało co, a byłbym którą chycił la Pietrusia!

Wrony wylazły jakby z lasu, maszerowały koleinami, wydziubując, co się dało, ale, poczuwszy człowieka, jęły ostrożnie, z przekrzywionymi łbami zazierać w niego i obchodzić, podskakując coraz bliżej, a stopercząc obmierzłe, zbójcekie dzioby.

— Niepożywita się od mnie! — rzucił grudkę, uciekły cicho, jak złodzieje.

Zaś potem, że siedział jakby w odrę-



STARY MOST NA WIŚLE

Z cyklu obrazów zakupionych niegdyś przez A. hr. Zamoyskiego dla statków na Wiśle

WOJCIECH GERSON
Z Salonu Kulikowskiego

twieniu, zapatrzony we świat i całą duszą zaśluchany w jego głosy, to wszelaki stwór jął zuchwale ciągnąć na niego; mrówki łążyły mu po plecach, motyle raz poraz przysiadły we włosach, boże krówki szukały czegoś po twarzy, a zielone, spaste liszki pięły się skwapnie na buty, to leśne ptaszki cosik mu zaświergotły nad głową, i wiewiórka, przewijając się od boru, zadarła rudy ogon, ważąc się przez mgnienie, czyby nie chycnąc na niego, ale on ani już o czym wiedział, grążył się bowiem w czemścis, co buchało z tych ziem nieobjętych, sycąc mu duszę upojoną, żywiącą i zgoła niepowiedzianą słodkością.

Zdało mu się, jakoby z tym wiatrem przewalał się po zbożach; jakby polśniewał mięciuśką, wilgotną runią traw; jakby toczył się strumieniem po wygrzanych piachach skroś łąk, przejętych zapachem sianokosów; to jakby z ptakami leciał kajś wysoko, górnice, nad światem i krzykał z mocą niepojętą do słońca; to znowu jakby się stawał szumem pól, kolebaniem się borów, siłą i pędem wszelakiego rostu i wszystką potęgą tej ziemi świętej, rodzącej w śpiewaniach i weselu. I sobą się wiedział, wszyckiem się wiedząc zarazem, bo i tem, co się obaczy i poczuje, czego się dotknie i co się wyrozumie, ale i tem, czego nie sposób nawet pomiarkować, a co jeno poniektóra dusza w godzinę śmierci przejrzy i co się w człowiekowem sercu tylko kłębi, wzbiera i ponosi ją w jakąś niewiadomą stronę i łyzy słodkie wyciska i nieukojną tęsknicą, kieby kamieniem, przywała.

Szło to przez niego, niby chmury, że,

nim co pojął, już inne następowały, już nowe i barzej jeszcze niepojęte.

Był na jawie, a śpiak sypał mu w oczy makiem i wodził kajś ponad dole i stronami zachwyceń prowadził, że już w końcu poczuł się niby w czas podniesienia, kiej dusza gdzieś się wzniesie i płynie kłęzący na jakieś janielskie ogrody, na jakieś nieba i raje pełne szczęśliwości.

Kwardy był przeciek i do tkliwości nieskory, ale w tych dziwnych minutach gotów był paść na ziem, przywrzeć do niej gorącymi ustami i obejmować cały ten świat kochany.

— Nic, jeno me tak powietrze rozbieira!—bronił się, trąc oczy kułakiem i sroząc brwie, ale bo to poredził się przemóc, bo to mógł zdusić w sobie kumentność, która go przepalała, kiej pożar?

Na ziemi się bowiem znowu poczuł, na ojcowej i praojcowej grudzi, między swoimi, to i nie dziwota, co radowała mu się dusza, i każde bicie serca zdało się wołać na świat cały mocno i radośnie:

— Dyc znowu jestem! Jestem i ostanę!

Prężył się w sobie, gotów dźwignąć się na to nowe życie, którem już szedł ociec, jakim przeszły dziady i pradziady i, tak samo jak oni, pochylał bary, by wziąć ciężki trud i ponieść go nieulekłe i niestrudzenie, aż póki Pietruś nie zastąpi go z kolei...

— Tak już być musi! Młody po starym, syn po ojcu, a posobnie, a ciągiem, dopóki Twoja wola, Jezu miłosierny—dumał surowo.

Wsparł głowę na rękach i pochylał nisko ociężałą głowę, gdyż nawiedziły go ca-

łą cizbą przeróżne myśle i spominania, zaś jakiś głos kwardy i karzący, jakgdyby głos sumienia, jął mu prawić swoje gorzkie i bolesne prawdy, przygiął się przed nim i ukorzył, wyznając się ze wszystkich przewin i grzechów...

Ciężką mu była ta spowiedź, i zgoła niełatwym pokajanie, ale przemógł hardość, zdusił w sobie ambit i pychę, patrząc w całe swoje życie nieubłaganymi oczami opamiętania; każdą sprawę swoją przeziarał tera do dna, biorąc ją na rozum i na srogi sąd.

— Głupi byłem i tyła! Na świecie musi iść swoim porządkiem! Juści, mądrze powiedzieli ociec: jak wszystkie jada w jedną stronę, źle takiemu, któren z woza spadnie, pod koła zleci! Koni na piechotę się nie zgoni! Że to kuźden człowiek musi wszycko dochodzić swoim rozumem! Droga niejednemu wychodzi!—myślał smutnie, i cierpki przesmiech okolił mu wargi.

Z boru zaczęły klekotać kołatki a porykiwania ciągnących stad.

Podniósł Pietrusia i ruszył bokiem topolowej, przepuszczając stada, idące z leśnych pastwisk.

Kurz się wznosił z pod kopyt i bił ponad topole, kiej chmura, w zaczerwienionych od zachodu tumanach chwiały się rogate, ciężkie łby, i raz poraz skłębiały się owce, obganiane przez pieski, gdyż ciągiem się rwały w przydrożne zboża, pokwikiwały świnię, prażone batami, cielaki z bekiem szukały pogubionych matek; paru pastuchów jechało na koniach, a reszta szła ze stadami, trzaskając z batów, gwarząc a pokrzykując, któryś zawodził, jaże się rozlegało.

(DCN)



DAWNY WIDOK GÓRY TUMSKIEJ W PŁOCKU
Z cyklu obrazów zakupionych niegdyś przez A. hr. Zamoyskiego dla statków na Wiśle

WOJCIECH GERSON
Z Salonu Kulikowskiego

CZY SPRZYJAĆ ABSTYNENCYI?

Niewdzięczne zadanie ma do spełnienia ten, co pragnie zainteresować naszą inteligencją zawodową, jako też sfery mieszczańskie, sprawą wstrzemięźliwości, czy to polegającej na umiarkowaniu w picciu trunków alkoholowych, czyli też na całkowitem wstrzymaniu się od ich używania, jako napojów, a noszącym miano abstynencyi: każdy ruch nowy spotyka się u nas z jakimś dziwnym niedowierzaniem, z jakąś nieufnością, z niechęcią, właściwą ludziom, gniewającym się za zniewalanie ich do krytycznego myślenia, jako też do schodzenia z utartych ścieżek życiowych dla poszukania nowych dróg oraz innych, wyższych, niżeli do tej pory, celów.

Szczególniejszą niełaską cieszy się ruch abstynencki, ponieważ występuje przeciwko powszechnej towarzyskiej tradycji, przeciwko jednemu z najmocniejszych i najbardziej zakorzenionych nałogów, ponieważ wymaga od ludzi silnej woli i tęgiego charakteru, których to zalet i przymiotów naszemu narodowi brak w bardzo znacznej mierze. Na samo wspomnienie o abstynencyi wzrusza się z politowaniem ramionami, uśmiecha się ironicznie, powtarza utarte niby-dowcipy na temat abstynencyi nie tylko od alkoholu, ale i od pewnych naturalnych i koniecznych w życiu człowieka funkcji fizjologicznych, jakgdyby rzecz tak sztuczna, jak nałóg alkoholowy, mógł iść w najłżejsze bodaj porównanie z powszechnymi i pięknymi prawami natury.

A teraz proszę o maleńką chwilę cier-

pliwości i uprzejmej uwagi dla moich poniższych wywodów.

Jakkolwiek uważamy się za naród niezmiernie etyczny, jako też obdarzony szlachetnymi instynktami, to jednakże nad rozwojem dobrych obyczajów w najszerszym, ale zarazem i najistotniejszym znaczeniu tego wyrazu zgoła nie pracujemy; gdyby bowiem było przeciwnie, uznalibyśmy niezwłocznie, że jednym z głównych wrogów dobrych obyczajów i moralności jest niewątpliwie alkohol, który, będąc typową trucizną tkanki nerwowej i komórek mózgowych, jest źródłem zwyrodnienia najdelikatniejszych tkanek naszego organizmu, będących siedliskiem władz duchowych i moralnych.

Pod wpływem alkoholu zatracamy powoli, ale stale i nieubłaganie, wszystkie wyższe ideały etyczne, poczucie sprawiedliwości, jako też zdolność hamowania swych najniższych, zwierzęcych czysto popędów oraz instynktów, ponieważ alkohol niszczy te właśnie tkanki, które są ogniskami wszelkich powściągów, subtelnych uczuć humanitarnych i wyższych ideałów etycznych. Aby poznać zgubne wpływy alkoholizmu, trzeba wziąć pod uwagę objawy najbardziej krańcowe, w których zagadnienie występuje w swej najcharakterystyczniejszej postaci: wiemy, że alkoholicy nie tylko sami podlegają z biegiem czasu smutnemu zwyrodnieniu cielesnemu, duchowemu i moralnemu, lecz, co gorsza, wydają na świat nieszczęśliwe, zwyrodniałe

potomstwo, które daje obfity materiał dla szpitali: szczególnie szpitali dla obłąkanych, dla więźni, dla przytułków, dla wszystkich postaci prostytucji i zwyrodnienia, stanowiąc ogromny ciężar dla społeczeństwa, któremu nie tylko nie przynoszą żadnego pożytku, lecz którego kosztem żyją, będąc niewyczerpanym źródłem zepsucia, występku i niebezpieczeństwa dla mienia, oraz życia swych spółobywateli.

To, co się odnosi do alkoholiców w wyższym stopniu, odnosi się do pijących umiarkowanie w niższym stopniu, ale odnosi się niewątpliwie i nieubłaganie, dzięki czemu mamy powszechne obniżenie się poziomu dobrobytu fizycznego, umysłowego i moralnego całego narodu, a ponieważ obniżenie się tego poziomu jest równocześnie obniżeniem się sumy szczęścia, przeto każdy łatwo zrozumie, jakim wrogiem rodzaju ludzkiego jest tak niewinnie wyglądający alkohol.

Naród alkoholizujący się jest oczywiście pozbawiony znacznego zapasu odporności w walce o byt, a jeżeli odporność ta potrzebna jest wszystkim, nawet najpotężniejszym narodom, to tem bardziej potrzebna jest takim narodom, jak nasz, którego jedynym majątkiem, jedynym puklerzem jest fizyczne, umysłowe i moralne zdrowie jak najszerszych jego warstw, jest siła woli i charakteru, krzepkość i sprawność, dzielność życiowa i możność wytrzymania wywieranego na nasz organizm narodowy naporu.



SASKI OGRÓD Z TYPAMI Z POŁOWY ZESZŁEGO WIEKU
Z cyklu obrazów zakupionych niegdyś przez A. hr. Zamoyskiego dla statków na Wisle

FRANCISZEK KOSTRZEWSKI
Z Salonu Kulikowskiego

Gdyby abstynencya nie zapewniała nam nawet tego wszystkiego, to byłaby jednakże niezmiernie pożądana, jako powszechna organizacja obywatelska, obejmująca wszystkich, bez względu na wyznanie i partje społeczne i polityczne, ponieważ spotkanie się na takim neutralnym gruncie zbliża i jednoczy i przyzwyczajają do walki ramię obok ramienia ze wspólnym wrogiem wewnętrznym, tak niebezpiecznym, jak zastarzały i bezkrytyczny nałóg picia, w którym topimy od wieków sumienie, szczęście rodzinne, dobrobyt materialny i jedyny nasz najbardziej istotny majątek, to jest energię i odporność życiową.

Nie zapominajmy atoli, że abstynencya kryje w sobie inną jeszcze, niezmiernie ważną w naszym położeniu stronę, a mianowicie stronę ekonomiczną: zważmy dobrze, iż wedle ostatnich obliczeń posła Żukowskiego przepijamy rocznie 39 milionów rubli! Łatwo powiedzieć to słowo, ale jakimże strasznym jest ono dla nas wyrzutem! Wszak to olbrzymi fundusz, który, na inne cele użyty, najpiękniejsze dla nas mógłby wydać owoce. Jesteśmy społeczeństwem, któremu wszystkiego brak, a mimo to trwonimy tyle ciężko zapracowanego grosza na pijaństwo. Suma, w jednym roku przepita, pozwoliłaby nam przeprowadzić w całym kraju doskonałe drogi, pobrać szpitale, powznosić szkoły, biblioteki, muzea, pozakładać warsztaty i fabryki, domy ludowe, teatry, sale koncertowe, wystawy obrazów, ogródki dziecięce, pozwoliłaby nam podnieść gospodarstwo rolne, chów bydła, tak bardzo zaniedbane ogrodnictwo i warzywnictwo, słowem, tak znaczne kwoty pieniężne, na cele produkcyjne rok

rocznie wydawane, musiałyby podnieść nasze bogactwo materialne, naszą kulturę duchową, kładąc niezachwiane podwaliny pod naszą przyszłość, jako społeczeństwa cywilizowanego.

Pragnę zwrócić uwagę na jedną jeszcze niezmiernie ważną okoliczność, na tę mianowicie, że obecnie ruch abstynencki zaczyna zjednywać sobie wielu gorących i szczerych zwolenników w pośród pewnych kół ludu zarówno miejskiego, jak i wiejskiego, a dobry przykład jednych zaczyna działać zaraźliwie na innych, i abstynencya staje się powoli jednym z głównych haseł ogółu ludu naszego, a obojętność inteligencji i tak zwanych kierowników narodu utrwala nieufność i kopie coraz głębszą przepaść pomiędzy rozmaitemi jego warstwami. Należy tedy zrozumieć, że dalsze uporne trzymanie się zwyczajów pijackich i lekceważenie ruchu abstynenckiego może, ba! nawet musi odbić się bardzo ujemnie na wzajemnych stosunkach różnych warstw naszego społeczeństwa, o czym niechaj pamiętają ci wszyscy, którzy uważają się za duchowych i moralnych kierowników narodu i pragną swój wpływ utrzymać.

Gdybyśmy doszli do tego, aby u nas miał być abstynencki lud miejski i wiejski, a nieabstynencka inteligencja zarówno miejska, jak i wiejska, porozumienie się, dzisiaj bardzo trudne, stałoby się zgoła niemożliwe, i rozdzwięk, już obecnie panujący, zwiększyłby się znakomicie z ogromnym dla naszej przyszłości uszczerbkiem. To też ruch abstynencki z rozmaitych, zaledwie z lekka naszkicowanych powodów zasługuje na baczniejszą uwagę, na sympatyę, jako też na po-

parcie tych wszystkich kół naszego społeczeństwa, które, grzęznąc po uszy w zwyczajach pijackich i hołdując temu szpetnemu nałogowi, nie chcą widzieć odbywającej się masowej ewolucji i nie chcą wziąć w niej udziału, wyrzekając się w ten sposób łączności z masą ludu polskiego, który w alkoholu dojrzał swego śmiertelnego wroga i wypowiedział mu zażartą walkę.

Może spokojne rozważenie tych wszystkich danych skłoni niejednego czytelnika do zajęcia się tem, budzącem trwogę zagadnieniem naszego życia narodowego.

WOJCIECH SZUKIEWICZ.

Psalterz Dawidów.

Księga, w skórę oprawna poźółką a tęgą,
Srebro jej czterech klamer dawno poczerniało...
Ach, ile razy niegdyś nad tą starą księgą
Oblicze moich dziadów w smętku się schylało,

A usta, powtarzając jej słowa nabożne,
Wiodły dusze ku skrusze przed Bożą potęgą...
Ach, ile razy niegdyś nad tą starą księgą
Serca niewiast się tłukły lękliwe i trwożne...

Wśród czarnych, wielkich liter na starym papierze
Czytam wspomnień relikwiarz, w tej księdze

zawarty,

I, wolno przewracając poźółkę jej karty,

Widzę, że były one, jak jasne puklerze,
Sprawujące anielskie nad duszami warty,
Gdy pokusa je wiodła na grzechu rubieżę...

ZDZISŁAW DĘBICKI.

CHORĄGIEWKI JEZUICKIE.

Przy ul. Jezuickiej w Warszawie ukończono pod kierunkiem prof. Mikołaja Tołwińskiego odnowę i częściowo przebudowę okazałego gmachu, noszącego Nr. 4. Jak każda prawie nieruchomość staromiejska, kamienica ta posiada zasobną we wspomnienia historyę.

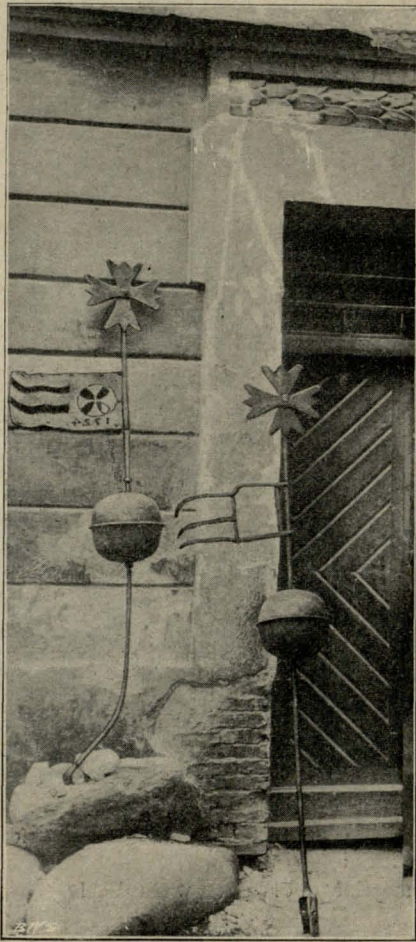
W XVII stuleciu stały tam trzy kamieniczki. Zwrócili na nie o.o. jezuiti, posiadający naprzeciwko kolegium przy kościele, a potrzebujący jeszcze domu na szkołę. Jakoż w r. 1667 biskup kijowski, Tomasz Ujejski, podarował im część kamienicy, zwanej „Czerska“, a w r. 1676 uczynił toż samo posiadacz drugiej części, Ambroży Gulitowicz. Kamienica ta sąsiadowała z Kanoniami, przedzielona od nich uliczką Dawną. Następną kamienicę, zwaną „Rozrażewska“ lub „Opalińska“, jezuiti kupili w r. 1679 od Leżeńskich za 7,500 złp. Nakoniec w r. 1722 nabyli od Wojciecha Komorkiewicza i ks. Bartłomieja Kloma kamienicę „Klomowską“ za 12745 złp. Dalej już posunąć się nie mogli, bo następowała kamienica biskupów poznańskich (teraz Nr. 6).

W przerobionym z tych kamieniczek gmachu dwupiętrowym jezuiti urządzili sławne szkoły, spółzawodniczące ze szkołami pijarów i teatynów warszawskich. Jaśnieli tutaj nauką i talentem astronom Tylkowski, dziejopis Naruszewicz, geograf Wyrwicz, pedagog Piramowicz, komedyopisarz Bohomolec, starożytnik Albertrandi i wielu innych. Szkoły swoje Jezuiti nazwali *Gymnasium Zaluscianum* na cześć dobrodziejów zakonu: Ludwika, biskupa płockiego, i Andrzeja, biskupa krakowskiego, Załuskich.

Z biegiem czasu jezuiti posunęli swoje posiadłości w głąb i w r. 1773 wymurowali tuż za szkołami również dwupiętrową oficynę z licem na Górę Gnojową (dziś Zieloną). Na wieść wszakże o kasacie zakonu wypuścili ją w dzierżawę wieczystą, skutkiem czego władze edukacyjne musiały ją później wykupić. Kamienica ta jest obecnie oznaczona Nr. 1 od ul. Brzozowej.

Po rozwiązaniu zgromadzenia w gmachu jezuickim mieściły się szkoły świeckie komisji edukacyjnej, dópóki za czasów pruskich nie upadły. Za Ks. Warszawskiego, w r. 1809, umieszczono tam szkołę lekarską, a od r. 1818 wydział lekarski uniwersytetu królewskiego i kliniki. Po zwinięciu zaś uniwersytetu w r. 1831, znalazły tam przytułek instytut położniczy i szkoła akuserek, a od r. 1840 szkoła farmaceutyczna i gabinet anatomiczny. W r. 1857 otworzono tam uroczyście akademię medyko-chirurgiczną, ale zgłosiło się do niej tylu słuchaczy, że musiano poszukać wnet innego lokalu. Ustąpiono więc akademii „pałac Staszica“, a w gmachu pojezuickim usadowił się urząd loteryi. Następnie mieściło się tam seminarium metropolitalne św. Jana, później gimnazjum realne, a obecnie gmach ten zajmuje rządowa szkoła realna.

Z rękopiśmiennego inwentarza nieruchomości jezuickich, sporządzonego w r. 1773, widzimy, że gmach szkolny niewiele się zmienił od tego czasu. Ubyła krata nad wejściem i ganek żelazny na ulicę z I piętra, a zapewne i godła zakonne. Dokonane teraz rozszerzenie okien nie zmieniło również ogólnego wyglądu. Natomiast, gwoli uzyskaniu więcej światła, oficyna z r. 1773 postradała stylowe obramowania okienne. Jednocześnie zniknęło wejście na uliczkę Dawną, prowadzącą z ul. Jezuickiej na Brzozową. Przegradzała ona—jake-



Chorągiewki jezuickie.

śmy już zaznaczyli—tyły Kanonii (Nr. 20—28) od posesyi jezuickich i miała, według pomiaru z r. 1784, długości $71\frac{1}{2}$, a szerokości średnio 10 łokci. Ma ona także swoją historję.

Ponieważ wymienione domy kanoniczne miały od tyłów podwórze i wychodziły wprost na



Ulica Dawna.

uliczkę Dawną, więc kapituła kolegiaty św. Jana zapragnęła objąć ją w posiadanie i w r. 1757 zwróciła się do magistratu o pozwolenie przearkadowania jej. Miasto nie zgodziło się na to, lecz kapituła samowolnie wymurowała arkadę od strony ul. Jezuickiej i połączyła w ten sposób kanonję narożną z gimnazjum Załuskich. W arkadzie urządzili bramę, a nad nią mieszkancko. Wynikł, rzecz prosta, spór, który się tem zakończył, że kanonicy otrzymali uliczkę Dawną w dzierżawę i płacili magistratowi po kilkadziesiąt złotych czynszu rocznie („Księgi uchwał magistratu“, 521). Ta brama pod arkadą, lubo zawsze zamknięta, przetrwała aż do czasów ostatnich, i dopiero teraz przerobiono ją na sklepik, tak, że przechodzeńi ani się domyśli, że mija Dawną uliczkę.

Podczas teraźniejszej odnowy gmachu szkolnego znaleziono trzy miedziaki z czasów Jana Kazimierza i Stanisława Augusta, oraz pistolet skałkowy z datą 1814 r., zamek fuzyi stalowej z napisem „Madrit“ i kilka kulek. Przedmioty te były ukryte pod podłogą, zapewne w r. 1831.

Prawdziwą zaś pamiątką po jezuitach stanowią dwie chorągiewki żelazne, które tkwiły na dwu przeciwnych szczytach dachu gimnazjum. Ołbrzymie te wietrzniki składają się z grubego pręta żelaznego (wysokiego na 96 cali), chorągiewki blaszanej (długiej na 19 cali) i gałki (o obwodzie 37 cali). Gałki, do których zwykle kładzono dokumenty erekcyjne, były przedziurawione i puste. Jedna chorągiewka (cokolwiek mniejsza) niczem się nie odznacza, na drugiej zaś znajdują się wycięte: pośrodku krągły krzyż maltański, nad nim litery A—H, a poniżej data: 1724. Widoczne są też na niej ślady grubej pozłoty.

Dociekając znaczenia inicjałów, znaleźliśmy w „Opisie kościołów“ Józefa Łukaszewicza, pod rokiem 1729, wiadomość, że „Hastowski, jakiś urzędnik wysoki koronny, na prymicye syna swego, jezuita, podarował coś kosztownego od złota, co kronika kolegium warszawskiego nazywa *auro et eleganti opere elaboratam planetam*“ (t. III, str. 86). Ta zagadkowa, pozłocista i wytwornie wyrobiona planeta to niechybnie ogromna gałka chorągiewki. Trudniej natomiast orzec, kto był ofiarodawcą. Jezuita, piszący kronikę, dodał mu snadź od siebie szumne tytuły, które Łukaszewicza zmyliły, niemasz bowiem Hastowskich ani w wykazach dostojników, ani wogóle w spisach szlachty. Zachodzi to prawdopodobnie omyłka w samym nazwisku. Poszukując napróżno Hastowskich, natknęliśmy się na Hasłowskich. Mianowicie w Aktach radzieckich Starej Warszawy (LVII, 437), pod r. 1711, figuruje Stanisław Hasłowski, pisarz skarbu koronnego. Bardzo tedy być może, iż to on, dorobiwszy się mienia na żupach solnych, sprawił o.o. jezuitom glob pozłocisty.

Obiedwie chorągiewki, mocno przez rdzę nadzarte, jako też staroświecki zamek bramny i wymienione wyżej przedmioty oddano do muzeum starożytności przy uniwersytecie warszawskim. Muzeum, przeniesione niedawno do wielkiej i widnej sali pałacu Kazimierzowskiego, znajduje się pod troskliwą opieką prof. Teodora Wierzbowskiego.

Na fotografii naszej chorągiewki są oparte o drzwi oficyny jezuickiej od strony Góry Zielonej. Widok zaś ul. Dawnej jest zdjęty z wnętrza Kanonii w roku 1870.



KRÓL JAN III-ci I CESARZ LEOPOLD I-szy W POCHODZIE ODSIECZY WIEDNIA. Szkicował WOJCIECH KOSSAK.

BOLESŁAW PRUS:

KRONIKA TYGODNIOWA.

W ciągu obecnej wiosny zdarzyły się u nas dwie sprawy głośne i jedno—ciche, ale użyteczne wydawnictwo. Wszystkiemu trojgu należy kilka słów poświęcić. Do głośnych spraw zaliczam: 1-mo zaprowadzenie elektrowozów na ulicach i 2-do krucyatę przeciw dyrektorowi Filharmonii. Cichem zaś wydawnictwem, które o mały krok zbliżyło nas do Europy, jest książka p. t. „Adresy Warszawy”.

Już nie pamiętam kiedy, Warszawa, rumieniąc się i skromnie spuszczać oczy, wyszeptala po raz pierwszy: „Spodziewam się... tramwajów elektrycznych”... No i owo „spodziewanie się” trwało tak długo, że przez ten czas mogło przyjść na świat ze dwadzieścia słoni i ze cztery wieloryby...

Nareszcie zaczął zbliżać się „moment”... Więc naprzód wykopano stare bruki, a następnie ułożono je z powrotem, może być, że cokolwiek na innych miejscach. Potem zaczęto naprawiać stare szyny tramwajowe, ażeby wnet uprzętnąć je i zastąpić nowymi. Później—na najruchliwszych ulicach miasta—wrosły niby kilkupiętrowe szubienice, i zaczęło robić się ciemno z powodu mnóstwa napowietrznych drutów, tworzących coś pośredniego między siecią rybacką a olbrzymim parasolem...

Wkrótce zapowiedziano, że ruch elektrowozów rozpocznie się niebawem, następnie zrobiono poprawkę, że ruch jeszcze się nie zacznie. Potem odbyło się poświęcenie i pierwsze próby elektrowozów w remizach i na przyległych pod-

wórkach... A potem zaczęto sobie życzyć, z powodu rozmaitych uroczystości:

— Bodajbyś doczekał wypuszczenia tramwajów elektrycznych!...

Wtem... któż zdoła opisać zaciekawienie, radość i dumę Warszawiaków, kiedy pewnego dnia rozeszła się wiadomość, że: elektrowozy nareszcie wyjechały na ulicę...

— Widziałeś pan?...

— Jakżeby nie?...

— Prawda, że piękny to kolor—czerwony z żółtym?...

— Przyznam się panu, że kolorów nie zapamiętałem, ale... Ale wie pan, że elektryczność to bardzo podobna do konia... Tak samo bieg-



Chorągiew Ziemi Krakowskiej w pochodzie wiedeńskim. Szkicował Wojciech Kossak.

nie przed tramwajem, tak samo ma cztery nogi i ogon...

— Dajże pan spokój! To znaczy, że nie widziałeś tramwaja elektrycznego, ale dawne, konne... Panie, tramwaj elektryczny—to, panie...

Kiedy pierwszy raz pokazały się olbrzymie, niby meblowe, wozy bez koni, publiczność skupiła się na chodnikach tak gęsto, jak w czasie przejazdu nieboszczyka szacha perskiego. A kiedy pierwszy raz pozwolono dostać się do wnętrza, ludzie pchali się, jak po bilety loteryjne. I przez kilka dni należało do szyku, jeżeli mógł kto powiedzieć o sobie:

— Jechałem tramwajem elektrycznym!

Takich szczęśliwców pokazywano palcami na ulicach.

Małe zboczenie. Do jednego z moich przyjaciół nadszedł list tej treści: „Szanowny Panie Prezesie! Czy nie raczyłbyś otoczyć swoją potężną a łaskawą opieką sieroty po zasłużonym literacie“...

— Sierota?... po literacie?...—szepnął protektor. A ponieważ ma zwyczaj gorączkować się, więc prędko wybiegł do sali poczekalnej, wołając:

— Gdzie jest ten chłopczyzna?... ten sierota po literacie?...

— To ja!...—odezwał się głębokim basem 40-toletni chłopczyk.

Coś podobnego zdarzyło się z elektrowozami. Publiczność z najwyższym zachwytem, z najgłębszą tkliwością powitała nowonarodzone dziecię Warszawy, myśląc: jakaby mu dać najpiękniejszą mamkę, najhygieniczniejszy smoczek, najładniej haftowane pieluszki. Aż tu naraz—ukochane niemowlę na jednej ulicy potrąca stójkowego, na dru-

giej obala stróża, tam kaleczy chłopca, owdzie łamie rękę staruszce, a wreszcie—na czysto zabija kilka osób... Trudno też dziwić się, że wystraszona publiczność jednym głosem zaczęła wołać: — Gwałtu!... ależ to nie jest niemowlę... to nie nadzieja miasta!... To rozjuszony tygrys... wściekły hipopotam... to gilotyna!...

Istotnie trochę za dużo krwi popłynęło na elektrowozowych chrzczinach. Zamiast jednak gniewać się na nieszczęśliwych motorowych, albo upominać o siatki ochronne, przytoczę zarządowi tramwajów słowa p. P. Baudin'a w *Journalu*, z powodu nadmiernej szybkości automobilów paryskich:

„Gdyby, dzięki jakiemuś wielkiemu odkryciu, inżynierowie z roku 1840 mogli wysłać pociągi z szybkością np. 90 kilometrów, zamiast 15, niezawodnie spotkałaby ich jednomyślna opozycja władz i publiczności. Ale skromna lokomotywa, kursująca pomiędzy Paryżem a Saint-Germain, rozwijała się tak powoli i stopniowo, że dała ludziom czas przyzwyczaić się do jej postępów w szybkości“.

Sens moralny. Nasze elektrowozy, w pierwszych dniach istnienia, zapomniały o prawie stopniowego rozwoju, o konieczności tego, ażeby mieszkańcy Warszawy stopniowo przywykli do wielkich prędkości, lecz—odrazu chciały jeździć... 15 wiorst na godzinę, w dodatku po ulicach ciasnych, zatłoczonych wozami, dorożkami, rowerami i automobilami, pędzącymi tak prędko, jakgdyby pragnęły w najkrótszym czasie dojechać do przystanku Jana Bożego.

Nie wątpię, że kiedyś elektrowozy będą u nas biegały po 15 wiorst, pod tym jednak warunkiem, że zaczną od 8-miu lub 10-ciu wiorst i prędkość tę będą powiększały bardzo stopniowo, może

w przeciągu kilku miesięcy. Tymczasem miło mi zaznaczyć, że szalona jazda tramwajów elektrycznych już nieco osłabła, a jednocześnie ucichły wieści o przejechaniach.

Bądź jak bądź, skutkiem zbyt gorącej wiosny, czy też nakrycia miasta siecią przewodników, atmosfera elektryczna w Warszawie zagęściła się ponad wszelką miarę, i uderzył piorun... w p. Al. Rajchmana, dyrektora Filharmonii. Oczywiście, albo sam ten człowiek, albo kierowana przez niego instytucja musi tworzyć jeden z najwyższych punktów w stolicy naszego artyzmu; wiadomo bowiem z fizyki, że najwyższe punkty najczęściej ulegają porażeniom.

Znowu na chwilę zбочę od przedmiotu. Opowiadał mi pewien literat, że, gdy około roku 1878 był pierwszy raz w Krakowie i tam zaznajomił się ze „stańczykami“, przyszła mu do głowy naiwna myśl zapytać jednego:

— Mój drogi panie, za co wy tak nienawidzicie „demokratów“?... Przecie można mieć inne przekonania polityczne, a jednak—szanować się?...

— Ma pan słusność—odpowiedział „stańczyk“—tych ludzi jednak niepodobna szanować, ponieważ są to zwyczajni złodzieje...

I opowiedział historię jakiejś fuzyi, komuś ukradzonej, czego jednak nie potrafię powtórzyć.

W tydzień później nasz literat znalazł się we Lwowie, poznał tam „demokratów“ i znowu w prostocie ducha zapytał:

— Moi panowie, dlaczego wy tak nienawidzicie „stańczyków“?... Przecie można mieć odmienne przekonania, a jednak szanować się i t. d.

— Miałby pan słusność—odpowiedział „demokrata“—gdyby panowie ci nie byli zwyczajnymi złodziejami... Niedawno naprzykład jeden z nich ukradł zegarek...

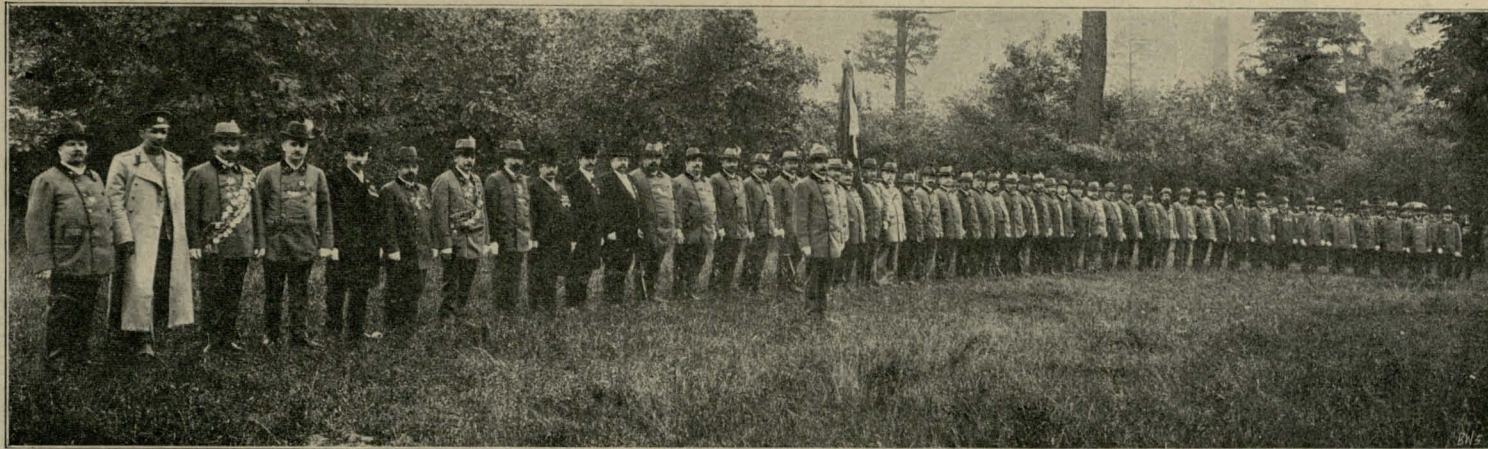
Uroczyscie zapewniam, że rozmowy powyższe nie są konceptem, ale szczerą prawdą. Skąd brać mamy naukę, że wolność konstytucyjna wśród inteligencji galicyjskiej zaczęła się od kłótni z przeciwnikami politycznymi, literackimi i dziennikarskimi, od nazywania ich „zdrajcami“, „złodziejami“ i t. p.

U nas nie było wprawdzie wolności, ale wymyślanie—było. Posądzano się, czy oskarżano wzajemnie o wszystkie grzechy główne i powszednie, między którymi odgrywało rolę: nieuctwo, wyzysk, a nawet przywłaszczanie cudzych, lub fałszowanie skarbowych pieniędzy.

Otóż kilka, tego rodzaju, zapewne bardzo



Żołnierz Piccolominiego i jego flirt. Fragment z pochodu wiedeńskiego. Szkicował Wojciech Kossak.



REWIE STRZELCÓW NIEMIECKICH W ŁODZI. Fot. „Rembrandt”.

przykrych, ale... nie zabójczych piorunów uderzyło w p. Rajchmana. Nie mam zamiaru występować w charakterze jego adwokata, ani oskarżyciela jego antagonistów. Radbym tylko zwrócić uwagę czytelników na bardzo i bardzo upowszechniony u nas zwyczaj: 1-mo rzucania oskarżeń nieudowodnionych, a nawet wręcz fałszywych, 2-do zapomnienia i przemilczania o zasługach ludzkich, co dla społeczeństwa jest, poprostu, moralną trucizną i ogłupieniem. W sprawie tej opieram się na dokumentach, ogłoszonych drukiem.

Najłagodniejszy zarzut, jaki postawiono p. R., był ten, „że nie zna zagranicznych programów koncertowych, że Filharmonia takich programów znikąd nie otrzymuje, ponieważ *nigdzie na kuli ziemskiej* nie istnieje żadna stacya centralna programów koncertowych“. Na co ze strony Filharmonii odpowiedziano, że—od lat szesnastu lipaska firma Breitkopf i Haertel wydaje co roku w 36 zeszytach programy wszystkich ważniejszych instytucji koncertowych w Europie. Wydawnictwo nazywa się: *Koncert Programm Austausch* (Wymiana programów koncertowych). Pierwszy więc zarzut, zrobiony dyrektorowi Filharmonii, był absolutnie niesłuszny.

Potem nastąpiły rzeczy znacznie ciekawsze, a streścić je można w zdaniu, że... p. Rajchman na muzykach i śpiewakach, biorących udział w koncercie chopinowskim, dopuszczał się... eksproprowacji, wynoszących od dwudziestu do stu i paruset rubli. Tego rodzaju zarzut był nie tylko ciężkim dla p. Rajchmana, ale pośrednio ogarniał wszystkich akcyonaryuszów Filharmonii. Cóż to bowiem za ludzie, którzy na czele swojej instytucji tolerują... eksproprowatora?...

Na szczęście już nie tylko dla Filharmonii, ale nawet dla warszawskiego społeczeństwa, i ten zarzut był akurat tyle wart, co i polemika o „programy koncertowe“. Wystąpił bowiem ordynat hr. Zamoyski z obszernym wyjaśnieniem, w którym znajdujemy takie zdania:

„Zwracam uwagę, że dyrektor zarządzający, jako funkcyjnarusz zarządu, podlega przedewszystkiem władzy tegoż zarządu i wykonywa swe czynności na podstawie instrukcji, opracowanej przez zarząd i uchwalonej przez ogólne zgromadzenie, spełnia zaś je pod stałą kontrolą zarządu. Jako prezes instytucji, oświadczam, że w postępowaniu dyrektora zarządzającego Filharmonii nie widzimy bynajmniej tych znamion, które usprawiedliwiałyby kampanię dziennikarską, prowadzoną prze-

ciw niemu systematycznie, przez pewien odłam prasy.“

Tak jasne i wyraźne świadectwo hr. Zamoyskiego, w moich przynajmniej oczach, uwalnia p. Rajchmana od wszelkich eksproprowacyjnych zarzutów. Naprzód bowiem hr. Zamoyski nie potrzebuje polować na artystyczne 20-torublówki, choćby na wspólnie z p. Rajchmanem, a powtóre hr. Zamoyski ma tylu doskonałych buchalterów, że nieporządki w rachunkach Filharmonii byłyby już dziesięć razy odkryte. Takie więc publiczne zarządzenie sprawę nadużyć usuwa stanowczo.

I widocznie w ten sposób nawet przeciwnicy p. Rajchmana zrozumieli wystąpienie ordynata Zamoyskiego. W najgorętszym bowiem ataku na p. Rajchmana, jakim jest: „Protest artystów polskich“, już niema mowy o „wywłaszczeniach“, ale o tem, że p. Rajchman „zadaje gwałt muzyce polskiej“ i przyczynia się do „upadku“ Filharmonii, „poważnej krajowej instytucji“, rozporządzającej tak „potężnymi środkami, jak: orkiestra, wielka sala, poparcie publiczności i prasy“ i t. d.

Na to znowu zarząd Filharmonii odpowiedział całą litanią muzyków i śpiewaków, oper i utworów koncertowych, odegranych w ciągu ostatniego półrocza, 126 koncertów, 128 widowisk, 98 członków orkiestry, 97 chórzystów, a wogóle 450 osób zawdzięcza swój byt zarządowi Filharmonii i opery. A że publiczność nie odmawia poparcia, dowód w istnieniu instytucji, która, oprócz opłacania przyjezdnych i miejscowych artystów i utrzymywania bardzo licznego personelu, musi je-

szcze składać rocznie z 50 tysięcy rubli rządowi i wierzycielom.

Że zaś i gust publiczności nie zepsuł się, ale raczej dojrzał, świadczą koncerty popularne, które zaczęły się przed laty polkami i walczykami, a dziś zwabiają utworami Chopina, Beethovena i t. d.

Nie zdaje mi się więc, ażeby i zarzut „upadku“ muzyki w Filharmonii był uzasadniony.

A teraz jeszcze słówko. Filharmonia istnieje i rozporządza „tak potężnymi środkami, jak: wielka sala, orkiestra“ i t. d. Przepraszam, ale... skądże się to wszystko wzięło?... Czy to przypadkiem nie p. Rajchman zainicjował Filharmonię? czy nie on zebrał pół miliona rubli od akcyonaryuszów, a drugie pół miliona pożyczki? Słowem, czy nie on umożliwił i zbudowanie „wielkiej sali“ i utworzenie „orkiestry“? Dzisiaj nietrudno płakać nad „upadkiem“ Filharmonii. Ale niełatwo było zorganizować ją i utrzymywać w najcięższych dla sztuki czasach, notabene w społeczeństwie, które nigdy nie odznaczało się znawstwem, ani zamiłowaniem muzyki. Na dowód, proszę posłuchać: jak śpiewają np. chłopcy rosyjscy, a jak nasi?

Z tej burzy majowej, która rozpętała się nad nim, p. Rajchman powinienby wyciągnąć dla siebie jakieś wnioski i nauki; ale i społeczeństwo—także. P. Rajchman posiada niewątpliwie zdolności organizatorskie, a o takich ludzi, szczególnie u nas, niełatwo; daleko łatwiej chociażby o najsurowszych krytyków. Ale i krytyka musi zachować pewną miarę, inaczej bowiem taki profan, jak np. ja (a jest nas legion), wyczytawszy przeciw p. Rajchmanowi tyle nieuzasadnionych oskarżeń, może w końcu przypomnieć sobie znane przysłowie:

„Słodki to musi być owoc, jeżeli na nim osy siadają“!...

— A co teraz będzie z *Adresami Warszawy*?...

Odłożymy je do następnej kroniki.

Rewie niemieckie w Łodzi.

Po dłuższej przerwie, spowodowanej ograniczeniami stanu wojennego w Królestwie Polskiem, niemieckie towarzystwa strzeleckie (Bürger-Schützen-Gilden), istniejące w kilku miastach obwodu łódzkiego odżyły nanowem i wystąpiły w całej swej okazałości mundurów, amunicji, karności wojskowej, wzorowej musztry... Szeregiem zwartymi, według „jednolitej komendy“ (!), poprzedzane sztandarami, defilowały po swych grodach w uroczystym marszu niemieckie Towarzystwa strzeleckie!

Widok ten wolnych strzelców, poprzedzanych przez orkiestry, nie dziw, że ściągnęły tysiączne tłumy ciekawych. Mówimy



Uroczysty pochód niemieckiego Towarzystwa strzeleckiego w Łodzi, poprzedzany przez kapelę narodową „Stella”. Fot. „Rembrandt”.



Andrzej hr. Zamoyski.

zbyt mało: pochód zgromadził więcej jeszcze łódzkich patriotów (i patryotek!) niemieckich, którzy, według relacji *Zeitungen*, obsypywali w zachwycie kwiatami maszerujących, uzbrojonych *Bürgerów*. Pisma nadmieniają nawet, że w tym roku zauważono szczególnie entuzjazm patryotyczny w powitaniu strzelców. Chcemy wierzyć zapewnieniom *Neue Lodzer Zeitung*, że przyczyną tego była głównie trzyletnia przerwa przymusowa w manifestacyjnych pochodach *Schützen-Gilden*.

Nie węgłbiamy się zresztą w przyczyny tych manifestujących się uczuć patriotów niemieckich na polskiej ziemi. W tej chwili ograniczamy się jedynie na powtórzeniu wiadomości zainteresowanej prasy, że, gdziekolwiek ukazali się strzelcy na ulicach, czy to w Łodzi, czy Pabianicach, czy w innych miastach, wszędzie spotykały ich owacy kwiatowe. To ma swoje strony poetyczne!

Znaczenie święta strzeleckiego w obwodzie łódzkim podniosła wszakże nadto obecność wszędzie wyższych urzędników władzy miejscowej.

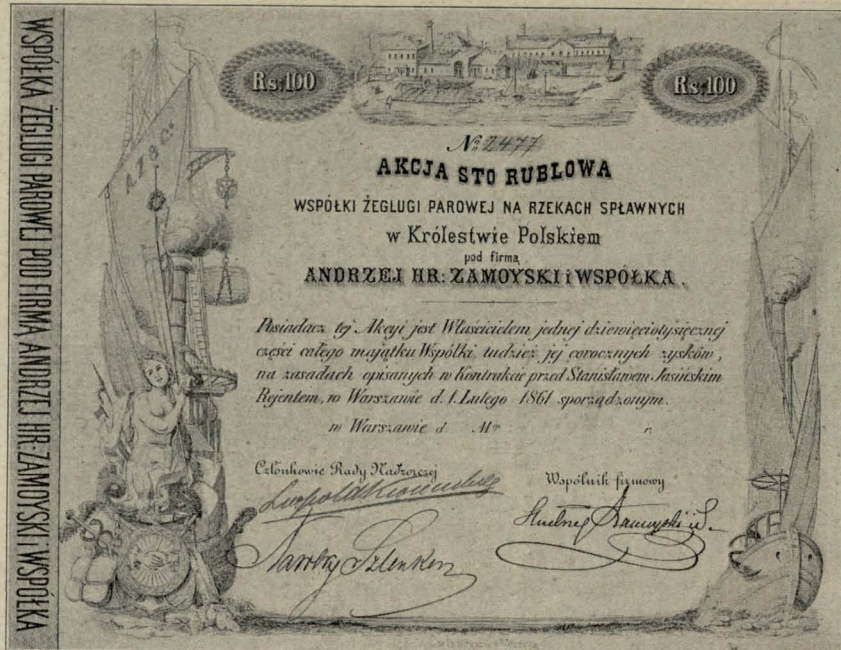
Kiedy po paradzie strzeleckiej zgromadzono się przy stole klubowym—znów według relacji *Neue Lodzer Zeitung*—połało się wino szampańskie, którym najpierw wypito kilka przedzdrowi urzędowych, między innymi za pomyślność generał-gubernatorów warszawskiego i wojennego łódzkiego, dalej policmajstra obecnego (i dawnego Chrzanowskiego), szefa żandarmów, prezydenta m. Łodzi, gubernatora piotrkowskiego i t. d.

A kiedy zakończyły się toasty oficjalne, wychylano obficie kielichy wina za zdrowie licznych działaczy niemieckich.

Podczas uczy przygrywała orkiestra niemiecka towarzystwa „Stella”.

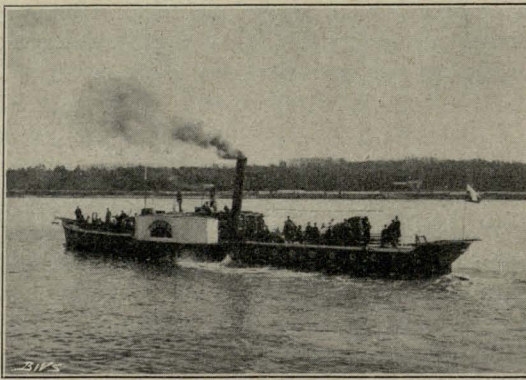
Podobne manifestacje strzeleckie odbywały się we wszystkich innych miastach obwodu łódzkiego. W Aleksandrowie bal króla kurkowego przeciągnął się do „białego rana”.

W ten sposób—konkluduje *Kuryer Warszaw-*



Akcyje byłego Towarzystwa żeglugi parowej „Hr. Zamoyski i S-ka”.

ski—wyglądają obchody strzeleckie, urządzone w tym roku w akompaniamencie „niebawalnych entuzjasmów”, a zakrawające na miano istnych rewii niemieckich w obwodzie łódzkim. (g.)

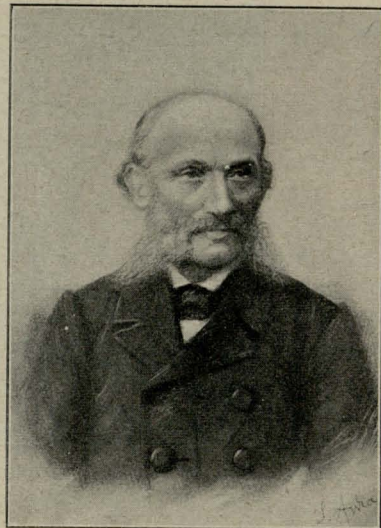


Parowiec na Wiśle z czasów Zamoyskiego

Jubileusz żeglugi parowej na Wiśle.

W prasie naszej mija on jeszcze bez echa... O jubileuszu tegorocznym żeglugi parowej na Wiśle nie czytaliśmy dotąd ani wzmianki nawet. A jednak nie powinien on przejść bez wspomnienia, ku informacji społeczeństwa polskiego.

W tym roku mija właśnie lat 60, kiedy wielkich cnót obywatelskich męż stanu, Andrzej hr. Zamoyski, powołał do życia wielką, zasobną spółkę udziałową żeglugi parowej na Wiśle, by krajowi oddać na użytek dużego znaczenia ekono-



Maurycy Fajans.

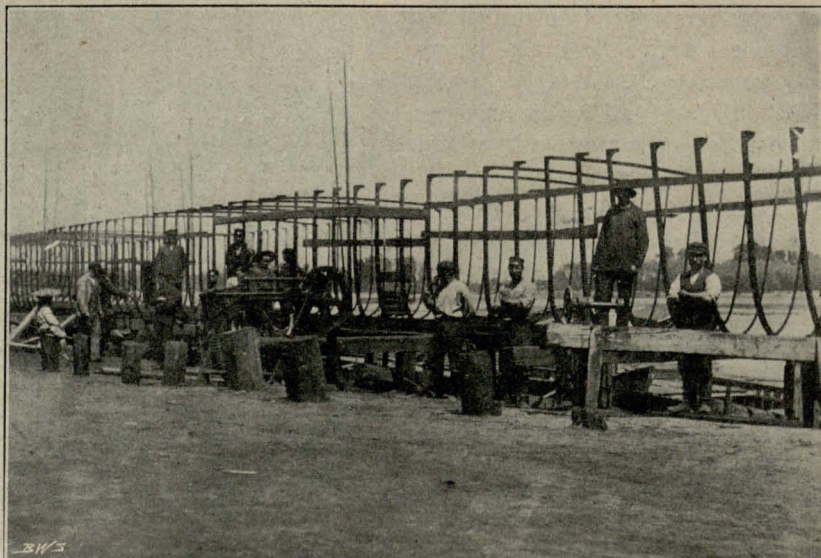
micznego sieć komunikacyjną, możliwie niedrogą i względnie wygodną.

W roku 1848 poszybowała po wodach wiślanych pierwsza na szerszą skalę zakrojona flotyla dla celów utylitarnych kraju naszego. Statki te miały od początku, jak na ów czas, urządzenia dobrze pomyślane, a o zabięłości hrabiego Zamoyskiego, by parowce miały wygląd kulturalny, niechże świadczy już sam fakt, że kajuty przyozdobiono obrazami Gersona i Kostrzewskiego, z których trzy podajemy w reprodukcji w bieżącym numerze naszego pisma.

Spółka żeglugi parowej od razu zresztą postawiona została na poważnym fundamencie materialnym, co zapewniało jej dłuższe utrzymanie się po mniej fortunnych próbach stworzenia żeglugi parowej na Wiśle, w okresie poprzedzającym.

Przypomnieć bowiem wypada, że pierwsze statki parowe na Wiśle ukazały się przed laty 80. Sprowadził je, przy poparciu Banku Polskiego, R. Wolicki, lecz parowce te, przywiezione z Anglii, okazały się niemożliwymi do uruchomienia ich na płytkich wodach Wisły.

W 17 lat później (1846 roku) próby stworzenia żeglugi parowej na Wiśle dokonali bracia Guibert, przybyli z Francji. Uzyskali specjalną koncesję od namiestnika Królestwa Polskiego, zapewniającą nadany im przywilej wyłącznej eksploatacji żeglugi parowej na Wiśle i jej dopływach w ciągu całych lat 10-ciu. Z Francji sprowadzono więc dwa parostatki: „Księżę Warszawski” i „Wisła”, które rozpoczęły jazdę osobową między Warszawą, Płockiem, Włocławkiem i Ciechocinkiem. Próby z parostatkami tymi nie dały jednak pomyślnych rezultatów, parowce okazały się



BUDOWA STATKÓW PAROWYCH W ZAKŁADACH KRAJOWYCH MAURYCEGO FAJANSA, NA SOLCU POD WARSZAWĄ. Fot. Ł. Dobrzański.



NA PAROSTATKU NA WISLE, POKŁAD KLASY DRUGIEJ.

Fot. Ł. Dobrzański.



W ZAKROCHYMIU, ZEJŚCIE ZE STATKU MIĘDZY NIEBEM A WODĄ.

zbyt dużymi i za bardzo zanurzającymi się w wodzie, osiadały często na mieliznach.

Zniechęceni przeszkodami, Giuberci koncesję swoją odstąpili w r. 1848 hr. Zamoyskiemu, który pierwszy w Polsce postawił żeglugę na Wiśle na szerszej stopie.

Spółka żeglugi parowej p. f. hr. Zamoyskiego przystąpiła niezwłocznie do budowy na Solcu specjalnej fabryki parostatków, w której czynności rozpoczęto od gruntownej przeróbki nieprzydatnych do żeglugi na Wiśle statków, nabytych od Giuberta.

Zamoyski przystąpił dalej do zakupu szeregu nowych parostatków, tak, iż flotyla doszła do liczby 12 parowców i 22 gabarów do przewozu zboża i ładunków towarowych.

Niepomyślnie finansowo eksploatowana żegluga parowa spółki hr. Zamoyskiego nie przynosiła jednak zgola żadnych dochodów. W ciągu kilkudziesięcioletniego swego istnienia Towarzystwo udziałowe poniosło strat prawie na milion rubli.

Wreszcie okolicznościami natury politycznej zmuszony do wyjazdu z kraju, hr. Zamoyski w roku 1871 wyzbywa się przedsiębiorstwa; główną część taboru nabywają kupcy do Rosji, zaś pozostałe na Wiśle parostatki wraz z 20 gabarami kupuje dyrektor żeglugi, Maurycy Fajans.

Nowonabywca, jak w rezultacie okazało się, miał najszczęśliwszą rękę ze wszystkich dotychczasowych posiadaczy parowców na naszych rzek królowej.

Zaprowadziwszy sprężystą administrację, powiększając stopniowo liczbę statków, Fajans dochodzi wkrótce do majątku. Dzięki szczęśliwej ręce, on też pierwszy utrwala byt żeglugi parowej na Wiśle.

W roku 1884 Fajans kontynuuje przerwana budowę statków w zakładach krajowych, przez siebie prowadzonych. Warsztaty te udoskonala w ten sposób, że podejmuje się nawet obstalunków dla potrzeb wojskowych. Aż wreszcie z fabryki Fajansa wychodzą przed paru lata pierwsze ulepszone parowce, „Kraków“ i „Wawel“, z krytymi kajutami na pokładach i oświetleniem elektrycznym statków. Był to poważny krok naprzód w udoskonaleniu estetyki dotychczasowych parostatków żeglugi na Wiśle.

Od r. 1885 Fajans ma zresztą poważnych konkurentów, najpierw w przedsiębiorstwie żeglugi p. Stanisława Górnickiego, a następnie całego sze-

regu innych spółek, z których Towarzystwo „Mercury“ w Płocku i spółka wrocławska pierwsze zajmują miejsce.

W tej chwili rozwój żeglugi na Wiśle przedstawia się już bardzo poważnie, dość powiedzieć, że na całej przestrzeni rzeki pod trzema zaborami kursuje około 140 parostatków. Według danych statystycznych, podanych przez p. W. Piechowskiego, w r. 1903 pod Warszawą w obie strony przepłynęło 5.460 parowców. Jest to miarą dostateczną ruchliwego spławu na naszej rzece.

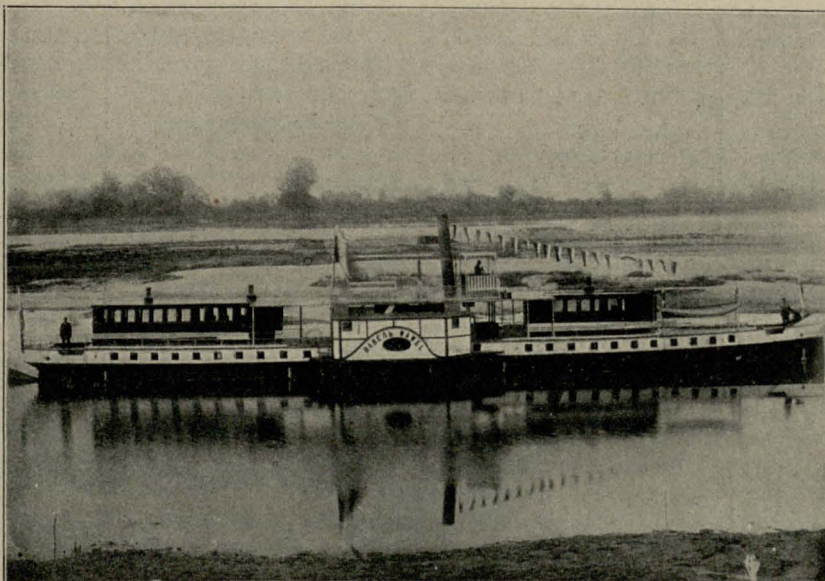
Żegluga nasza, niewątpliwie, dotąd jednak posiada jeszcze nader dotkliwie braki; kultura statków nie dosięga poziomu zagranicznego, na usprawnienie podnieść wszakże należy brak dotychczas uregulowania koryta rzeki, co utrudnia nieraz należne wprowadzenie ulepszeń technicznych.

W każdym razie na karb niedbałości właścicieli statków na Wiśle niemało da się złożyć.

Powodzenie powinno obowiązywać. Wskazówki kulturalne, przekazane przez tradycję obywatelską ś. p. Zamoyskiego, niestety, nie zawsze jednak znajdują posłuch u właścicieli obecnych przedsiębiorstw.

Nie wątpimy jednak, że raz już ugruntowana żegluga będzie musiała stale iść po drodze cywilizacyjnego postępu.

ST. GR.



NOWOCZESNY TYP STATKÓW PAROWYCH NA WISLE.

Pogadanki moralne.

— Cóż pan czytasz z takim zajęciem?

— To? „Pogadanki moralne“.

— Ha ha ha! Pan zawsze dowcipny! Pewno jaka wesoła książeczka, przynajmniej się pan!

— Nie wiem, czy wesoła, ale że interesująca, to pewno, choć napisana dla dzieci.

— Dla dzieci? I pan to czytasz? Po co?

— Mam troje dzieci, a zresztą ta książeczka tak trafnie wyświetla wiele kwestii etycznych, że...

— Że i pan na tem korzystasz, co? Ha ha ha ha!

— Widzę, żeś pan w świetnym humorze... Ale, ale, powiedz mi pan, co pan myślisz o hrabinie Wszędobylskiej?

— Jakto, mój panie! Pan wątpisz o jej zacności?

— Ee... nie, ale tak, powiedz pan, co to właściwie za osoba?

— Co tu gadać! Święta kobieta, panie dobrodzieju. Filantropka całą gębą.

— A bankier Geldvogel?

— Aaa... bardzo zasłużony, bardzo zasłużony. Dał niedawno sto rubli na nędzę wyjątkową, czytałem wczoraj w kuryerze...

— No, a pani Starowina?

— O, ta już żywcem do nieba pójdzie. Wszystkich żebraków pod kościołami obdarowuje. Ale o co panu chodzi? Czy to jaka ankietka?

— Iii... nie... tak tylko... Wiesz pan co, przeczytam panu kilkanaście wierszy bardzo ciekawych?

— Depesza z Persyi? Co? Jakże tam?

— Nie, nie... Posłuchaj pan. Siadajmy. Tu jest opis, jak jeden nędzarz dostał od pewnej eleganckiej pani, ile—nie wiem, ale jakiś pieniądz...

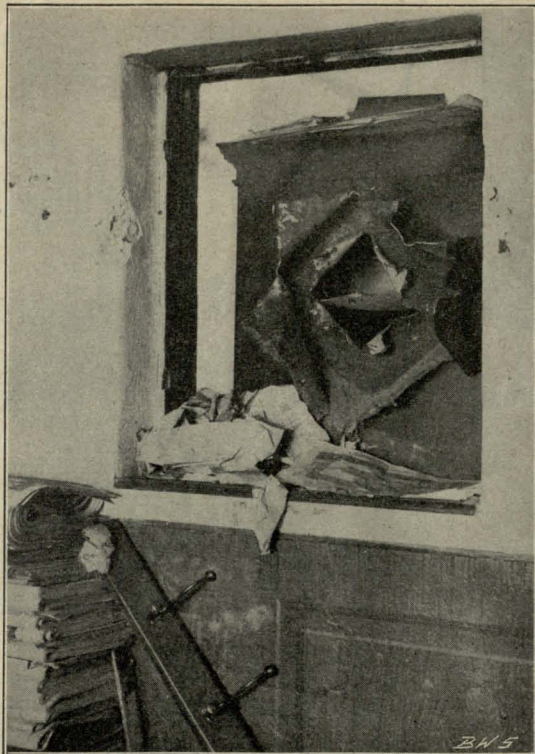
— Co panu się dzisiaj stało? Ha, ha ha ha!

...— „Może być, że tam pani chciała istotnie zaspokoić głód biedaka, może jednak myślała co innego. Wychodząc z domu, zauważyła, że z otwartych okien spoglądają jej sąsiedzi i będą chwalić jej miłosierdzie. A może, dając grosz żebrakowi, powiedziała mu:

„— Wynoś się czempredzej i nie krzycz tak głośno, bo ja lubię spokój, żebraków nie znoszę, a na drugi raz nie dam, tylko stróżowi powiem, żeby cię wypędził“...

— Co pan czytasz? Przecież właśnie to samo mi opowiedziała wczoraj o sobie pani hrabina Wszędobylska! Tylko, że wyraziła się inaczej: „powiem stróżowi, żeby cię oddał stójkowemu“. Któż ją tak zna doskonale? Pokaż pan?

— Zaraz, zaraz. Czytajmy dalej. „Może też pomyślała sobie: „Jak mu nie dam, to gotów się zemścić i złodziei naprowadzić“...



WIDOK ROZBITEJ KASY „KURYERA WARSZAWSKIEGO” po napadzie, dokonanym przez złooczyńców. Jest to pierwszy wypadek tego rodzaju w historii prasy polskiej.

— Ona, ona, jak Pana Boga Kocham! Jakże się cieszę, że ją tu opisali!

— A teraz inna pani. Ciekawym, czy pan pozna. „Wychodziła na miasto dla jakiegoś ważnego interesu, a będąc samolubną, powiedziała sobie: „Dam dziadowi dwa grosze, a to mi szczęście przyniesie“...

— Ależ to znowu pani Starowina. Panie, czyja to książka?

— He he! Słuchaj pan dalej: „Pomódlcie się za moją duszę” — powiedziała, dodając w duszy: — „żeby proces wygrała”.

— Starowina, Starowina. Ona prowadzi proces! Dawaj pan tę książkę!

— Nie dam. „Pewien człowiek szedł drogą, obsadzoną drzewami wiśniowemi”. „Już sięgał ręką do gałęzi, gdy nagle cofnął się i przeszedł na środek drogi. Może myśliwiec, że zawahał się na myśl, że wiśnie są własnością człowieka, który je posadził, pielęgnuje” i t. d. „Bynajmniej. Po prostu, zbliżając się do drzewa, dojrzał psa, który szczyrzył na niego zębami”...

— Toć to Geldvogel! Sam widziałem, jak uciekał. Czyjaż to książka, powiesz pan nareszcie?

— Bardzo znanej autorki, p. Izy Moszczeńskiej.

— Fiu, fiu! Cóż ta kobieta ma za stosunki! Zaraz moim dzieciom kupuję tę książkę! Zna i hrabinę i tego... ho ho!

— Bardzo dobrze. Ale teraz trzeba, żebyś się pan także z tej książki czegoś nauczył! „Sądząc ludzi po postępach, możemy się bardzo mylić, jeżeli nie znamy ich wewnętrznych pobudek”. Potem opisane wypadki przeciwnego rodzaju, objawiające złe pozory przy prawdziwej dobroci. Potem jest wiele jeszcze doskonałych rozdziałów, objaśniających istotę zła i dobra, odwagi, wytrwałości, cierpliwości, rzetelności, wiedzy i prawdy... świetna książka.

— Prawda. Zaraz powiem hrabinie, żeby też sobie kupiła...

— Widzę, że mnie pan rozumiesz doskonale...
META.

O czci dla bohaterów.

Z rękopisów pośmiertnych

Ukończyłem właśnie czytać książkę Askenazego o księciu Józefie Poniatowskim. Jakże ogromna i tragiczna Dola rozwija się w tej księdze o wielkim rycerzu. Bez słowa krzywdy dla nikogo, w zamkniętej pierści tłumiąc ból ducha, dla Polski tylko i na tej tylko Polski służbie wszędzie i zawsze dla Polski HONORU i SUMIENIA.

Można się było domyślać, można było zgadywać z portretów jego, z miłości narodu do jego imienia, z legendy jego rycerskiej i śpiewów o nim, że tajemnice w nim są i skarby w tej duszy wielkie i że, co ze śmiercią nie stygnie.

Ale dopiero po przeczytaniu tej książki wie się o tem, że domysł i przecucie to nowa dla niego krzywda i wielkiej jego rzeczywistej tragedii przyćmienie. Tę tedy należy poznawać i czytać i znać i dlatego czytać należy dzieło Askenazego.

Potocznie dzieje te księcia są opowiedziane. Szybko i mimo wielu szczegółów zwięzłe i jasno. Że rysy nie pominięty żaden i ruch żaden, a całość ujętą łatwo i do końca tchem jednym czytając, nie przyjdzie zaznać znużenia i jest się wszystkich księcia trosk i skąpych radości, tryumfów i rozpacz i wyczekiwań nekających i błysków geniusza świadkiem i patrzy się w tę postać wielką z drżeniem i umiłowaniem, zapałem i trwogą przez czas czytania kart ostatnich o dniach kilku pod Lipskiem, by, ostatnie czytając wiersze, ujrzeć ją olbrzymią, zapadającą w mętną topiel wód wezbranych.

Mówiono i powiedziano już zapewne wiele, pięknie i czule o Poniatowskim księciu i jego zgonie, ale może nie dosyć powiedziano i nie wyraźnie zadość, za co ginął i czym żył.

Jaką to w sobie świętą miał moc, dla której i przez którą żył i dla której ginąć był gotów i walczył i dla której ginął.

Mówiłby chyba kto nie umiał, gdyby nie znalazł słów dla księcia Józefa, a duszyby chyba nie miał, gdyby ku niemu ze wzruszeniem nie poglądał, gdy rycinę, jego przedstawiającą, lub portret gdzie dojrzy, ale niechże książkę tę Askenazego czyta, to dowie się, jak i jak bardzo człowiek ten kochania godzin i godzin uwielbienia i jak dalece stał straszno samotny. To, co było jego tajemnicą, to SUMIENIE i HONOR, a jedyny ku temu cenzus znajdował jedynie w sobie. O straszna dolo! Jedynie sam miarę sobie swoją mógł dawać i jedynie sam o SUMIENIU tem swoim i HONORZE wiedział. Wiare miał wielką i stąd właśnie tę wiare tak wielką i przez nią właśnie był jedyny.

Na rzecz jedną zniemną zwróciłbym w tej książce uwagę, i wdzięczność należy się Askenazemu za to, że tak tę książkę ujął i objął. Od młodości aż po zgon żywot jest cały, a nareszcie raz nie spotykamy się z galerią kochanek i miłostek katalogiem. A nareszcie raz nie dowiadujemy się nigdy, w kim się książkę „Pepi” kocha dziś, w kim kochał się wczoraj, miesiąc temu i t. d. Widocznie interesują te sprawy autora niniejszej książki tyle, co interesowały i samego księcia Józefa. Tu i owdzie jest wzmianka, ale właśnie dosyć, by ważność jej zrozumieć. Za to pominięto wszystko, co zgoła żadnej nie miało mieć wartości. Jest to zatem książkę Józef odkryty i rozumiany i poezya o księciu rycerzu prawdziwa.

Jakże wdzięczni byłibyśmy naszym pisarzom, historykom literatury, monografie piszącym i posągi usiłującym stawiać granitowe dla Słowackiego, Mickiewicza, Krasińskiego, gdyby te posągi były mniej obwieszane kolekcją, pięknych co prawda, miniatur niewieścich, kolekcją jednak zbyt liczną, że i często pierś i czoło monumentu obwieszonemi cackami przesłania.

O romansach tego bardzo romansowego księcia nie dowiadujemy się nic i widzimy odrazu, kim był książkę Poniatowski i o czym to z życia jego powinniśmy PAMIĘTAĆ i WIEDZIEĆ.

O, bo zaprawdę niełatwo wziąć do ręki te książki, które rzeczy słusznie i prawdziwie przedstawiają i które oczy nam mogą otwierać, abyśmy, co naszą zdobyczą jest, poznawali i wiedzieli. A moc i mnogość wielka książek, które się czyta, a które psują naszego ducha i światło jego, ku któremu dąży, cma przesłaniają.

Krytyka.

ST. WYSPIAŃSKI.

Jan Moniuszko.

W dniu 18 czerwca zmarł po długiej chorobie Jan Moniuszko, popularny wśród szerokiej publiczności malarz scen kontuszowych i epoki Księstwa Warszawskiego, syn nieśmiertelnego twórcy „Halki”. Urodzony w 1853 r., kształcił się początkowo w warszawskiej szkole rysunkowej, następnie zaś w Akademii Petersburskiej, w której uchodził za jednego ze zdolniejszych uczniów, szczególnie jako kompozytor. Opuściwszy około 1880 roku Petersburg, powrócił do Warszawy i tu przez szereg lat długich aż do śmierci pozostawał. Moniuszko w ciągu swego życia namalował olbrzymią ilość obrazów; w każdym z jego utworów znać talent wrodzony, lecz równocześnie pośpiech i dorywczość roboty. Człuch on doskonale zamaszty charakter epoki, czuł sztuczną elegancję Stanisławowskiego dworu i romantyczno-rycerski nastrój



Jan Czesław Moniuszko przy służkach w pracowni.

ułańów ks. Józefa. Było to zwykłe tło, na którym rozwijały swoje fragmenty obyczajowo-historyczne z wielką werwą wykonawczą, jakby improwizowane rapsody przeszłości. Ciężka choroba, nurtująca od dawna organizm Moniuszki, zmogła go przed czasem. W przyszłym numerze zamieścimy, obok reprodukcji z dzieł jego, dłuższą sylwetkę zmarłego artysty.

Echa pochodzenia wiedeńskiego.

W numerze bieżącym *Tygodnika* dajemy wspomniane szkice pochodzenia wiedeńskiego, specjalnie dla naszego pisma wykonane przez Wojciecha Kossaka.

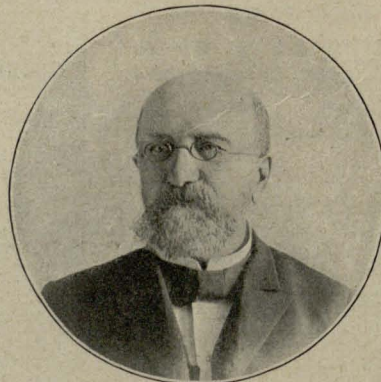
Jak wiadomo, znakomity artysta w ostatniej chwili przyjął dowództwo nad grupą Sobieskiego i rolę króla, kiedy miał zorganizowaną i wywieszoną banderę krakowską. Postawił jednak za warunek, że albo pojedzie, jako król Jan, na czele, z cesarzem Leopoldem, albo nie pojedzie wcale.

Jeszcze na parę minut przed lożą cesarską próbowano skłonić Kossaka, aby choć o parę kroków w tyle pozostał, jednakowoż, gdy oświadczył, że z całą hussaryą raczej wystąpi z pochodzenia i zawróci—dano mu pokój. Hussaryą, zorganizowaną przez Kossaka, wygłądała świetnie i była jedną z najpiękniejszych grup w pochodzeniu historycznym.

Uczczenie zasług.

Pisma codzienne przypominały pamięci współczesnej Warszawy jednego z tych, co śladem Boduena uprawiali na polskiej ziemi niwę filantropii społecznej, nie szukając rozgłosu ni zaszczytów. Cisi i skromni, idąc w zapomnienie wraz z pokoleniem, dla którego pracowali. Takim cichym pracownikiem, który w historii filantropii Warszawy pokaźne zająć winien miejsce, jest p. Jan Gautier, którego przypominano dziś Warszawie z okazji osmdziesiątej rocznicy jego urodzin.

P. Jan Gautier po przysporzeniu stolicy naszej, dzięki hojności swej i staranności, takich instytucji, jak szpital na Pradze, ochrona im. Boduena przy ul. Piwnej, kasa pożyczkowa - oszczędnościowa emerytów warszawskich, obok współpracownictwa w wielu innych instytucjach filantropijnych i komitetach dobroczynnych, h. zawiązywanych z powodu klęsk, jako to między innymi epidemii



Jan Gautier.

cholery i powodzi, usunął się w zacisze domowe, przeżył się do Krakowa i tam znojnego dokonywał życia.

Grono przyjaciół przypomniawszy warszawie i, czcąc zasługi jego, z racji 80-tej rocznicy urodzin urządziło w dniu 22-im b. m. w kaplicy Archikonfraterni literackiej w kościele archikatedralnym św. Jana, o godz. 11 przed południem, nabożeństwo, na którym obecnych było wielu z pośród tych, którzy filantropa znali, pracowali z nim razem lub zaznali za jego sprawą pomocy.

W d. 24 b. m., jako w dniu imienin p. Gautiera, wysłano do Krakowa telegram zbiorowy z życzeniami. *K. P.*

KRONIKA.

Osobiste.

Znakomity powieściopisarz, autor „Kronik tygodniowych”, Bolesław Prus, zwyczajem dorocznym wyjechał na wypoczynek letni do Nałęczowa.

Pan Jan Kleczyński, współpracownik naszego pisma, wyjechał na miesiąc do gub. siedleckiej.

z prasy polskiej.

Przeszedłszy pod nową redakcją, *Prawda* nabrała siły i wyrazu. W ostatnim zeszycie, charakteryzując sytuację polityczną w Europie, *Prawda* pisze: „Przykazanie Wielkiego Fritza: „Soyons fourbes”, jest do dziś dnia najgłówniejszą zasadą państwowego ustroju Niemiec współczesnych. Ale nad Tamizą i nad Sekwaną coraz głośniejszym rozbrzmiewa okrzyk, zwrócony w stronę wschodnią: „Soyez honnêtes!” Okrzyk ten dolatuje już nad Bałtyk i nad Newę, odbija się nawet pierwszym echem wśród nadsprejskiego mieszczaństwa. Echem tym ludzkości świata, zjednoczonej w imię wolności, nie pozwolą już odtąd zamilknąć”.

Zmarli.

Aleksander Smacznński, redaktor *Tygodnika Mód i Powieści*, literat i publicysta. Urodzony w 1845 r., syn Wincentego, wizytatora szkół, kształcił się

na rolnika w akademii w Hohenheimie. Wypadki 1863 r. pociągnęły 19-letniego młodzieńca, za co dwukrotnie odsiadywał wię-



Aleksander Smacznński.

zienie. Odzyskawszy wolność, gospodarował w majątku własnym pod Nowem

Miastem, ale w 1889 r. powrócił do Warszawy i poświęcił się wyłącznie piśmiennictwu. Pisał dużo, lecz prac swoich nie podpisywał, i dlatego nazwisko jego nie było znane szerokiemu ogółowi. Pozostawia po sobie szczerzy żal człowieka prawego i zacnego obywatela kraju.

Rozstrzygnięcie konkursu.

Ogłoszony swego czasu za pośrednictwem *Tygodnika* konkurs na afisz dla Druskiennik nie wydał należytych rezultatów. Sąd konkursowy nie przyznał żadnej nagrody. Prace, nadesłane do *Tygodnika*, pozostają do zwrotu, a protokół, podpisany przez sąd, do obejrzenia.

Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wnie-sienie opłaty na trzeci kwartał.

NADESŁANE.

IGŁY, SZPILKI, NICI, JEDWABIE, BAWĘŁNY

do robót drutowych, haftu i szydełkowania, poleca firma

STEFAN POREBSKI

Kraków, Rynek 32, linia C-D

Nagrodzone złotymi medalami, a zalecane przez pp. doktorów i lekarzy-dentystów: eliksir, pasta i proszek

„TYMENTOL“

jako najlepsze środki do czyszczenia i konserwowania zębów, oraz odświeżania jamy ustnej. Poleca Centralne Laboratorium Chemiczne w Warszawie. Sprzedaż w składach aptecznych.

C-SKORYNAJSKA FABRYKA MASZYN I KAMIENI MŁYŃSKICH BUDOWA MŁYNÓW WARSZAWA-PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE. OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i. t. p.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

Pensjonat hydropatyczny Dra Ebersa w Krynicy otwarty od 1 czerwca do 30 września w nowym zarządzie Józefa Downarowicza właściciela pensjonatu „Ukraina” w Krakowie. Prospekty na żądanie.

LUDWIK SZUFA KRAWIEC

KRAKOW TELEFON 671



Sanatorium dla chorych piersiowych
D-ra K. Dłuskiego, w Zakopanem, Tatry polskie.
Zakład otwarty przez cały rok. Wspaniały widok na Tatry. Lasy świerkowe. Wystawa wszystkich pokoi południowa. Obszerne leżalnie dla leczenia klimatycznego. Wzorowe urządzenia pod względem higieny. Oświetlenie elektryczne. Winda, kąpiele, natryski. Ogrzewalnie centralne. Wodociąg zimnej i gorącej wody na wszystkich piętrach. Utrzymanie wraz z opieką i zabiegami lekarskimi 9 kor dziennie. Pokoje od 2 koron dziennie. Powozy na zamówienie do pociągów. Poczta i telegraf w samym zakładzie. Lekarze mówią po polsku, francusku, niemiecku i rosyjsku. CENY UMIARKOWANE

Kto! dba o zdrowie, ten powinien zaopatrzyć się w przyszcic „Neptun”, który był badany przez War. Radę Lekar. i został zatwierdzony za № 6465, jako środek dla celów hydropatycznych. Zają muje mało miejsca, a można doskonale się wykapać, tak zimną jak i ciepłą wodą. Kosztuje gat I rb. 3 k. 25, II rb. 2 k. 60, III rb. 2.25. Prysznic z niklowanym rezerwuaem i cześciami mosiężnymi niklowanymi rb. 5 50. Miednice cynkowe od rb. 3.75. Wysyła się za zalicz. poczt. na prowincję. W składach żądać z № sw. i at. 25283. Wyroby własne. T. MARZEC Warszawa, Nowogrodzka 42.

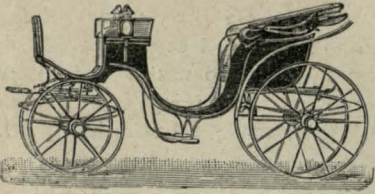
Elixir do zębów „Glossa“
O przyjemnym smaku, nie ustępujący tego rodzaju zagranicznym środkom.
Wyrabia apteka **E. GESSNERA**
w Warszawie, Jerozolimska 27.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE, FONOŁE
GEBETHNER i WOLFF
ORGANY, MELODYKONY
Warszawa, Krak.-Przed. 17

NARZĘDZIA LEKARSKIE, ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE, WYROBY NOŻOWNICZE
Bronisław Krug
Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47.
Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.

ODPOWIEDZI.
Pani Z. L. w Wilnie. Kursy żeńskie pedagogiczne Jana Miłkowskiego (Bracka Nr. 18). Kurs trzyletni. Na kurs pierwszy ogólnokształcący przyjmowane są kandydatki ze świadectwem szkoły średniej (pensji lub gimnazjum). Od drugiego kursu rozpoczyna się podział na dwa wydziały: przyrodniczy i literacko-humanistyczny. Wykłady prowadzi pierwszorzędną siłę pedagogiczną. Po skończeniu trzeciego kursu można dla uzyskania świadectwa rządowego zdać przed komisją. O szczegóły należy się zwracać wprost do zakładu.
„Vae mihi”, Askt. L. J. Belcikowskiemu z Białej, Vejovisowi, Zostra X. M. C. Nie wydrukujemy.

Apteka E. Filleborna, Marszałkowska № 87, róg Wspólnej, Telef. 14-79
polecą **Wody mineralne** świeżego czerpania **1908 roku.**
J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny



FABRYKA POWOZÓW Józefa Golińskiego dawniej Karola Sommera

LESZNO 36. Telefon 40-10.

Poleca wielki wybór powozów najnowszych fasonów. Cenniki ilustrowane.

HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT

Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.



FABRYKA
WYROBÓW PLATEROWANYCH
I SREBRNYCH 84-ej PRÓBY
Warszawa, Elektoralna 753/16.

SKŁADY:
Wierzbowa 8. Nalewki 16.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Chłodna Nr 18, Niecała Nr 9, Dzika Nr 7, Leszno Nr 4,
Nowy-Świat Nr 49, Sienna Nr 2 a, Praga Brukowa Nr 32, Długa Nr 19.
Filie: Łódź, Zielona Nr 5. Częstochowa, II Aleja Nr 34.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

SKŁADY NUT GEBETHNERA I WOLFFA

W WARSZAWIE,

Nowo-Sienna 9 (róg Zgoda) Krakowskie Przedmieście 15

Polecają

WIEDEŃSKIE tania wydawnictwa nutowe w tomach „UNIwersal-EDITION“

Dzieła kompletne klasyków w najnowszym opracowaniu, jak również kompozycje Richarda Straussa, Maxa Regera i wielu innych w układzie na wszystkie instrumenty oraz do śpiewu.

„Universal Edition“ zastępuje niemieckie wydania Petersa, Litoffa i inne.

KATALOGI GRATIS.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie



Słynna ze swych własności aromatycznych, właściwych substancjom roślinnym, służącym do jej przygotowania.

DO NABYCIA WSZĘDZIE.

Nowe maszyny
DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI

„APOLLO“

nadzwyczaj dogodne w użyciu, nieodzowne w każdym gospodarstwie.

PASY SKÓRZANE

oryginalne angielskie w najlepszych gatunkach, poleca

ALFRED GRODZKI

Warszawa, 33, Senatorska.



Zwracać uwagę na markę ochronną Gładystor.

NAJLEPSZA KAWA
SKONCENTROWANA



EXTRAIT de MOCCA

Eugeniusz Widigier i S-ka
WARSZAWA,
Al. Jerozolimska 25, tel. 35 33.



w GOŚCIE, ISCHIAS,
RHEUMATYZMIE,
ZAPALENIU-STAWÓW

Najsilniejsze naturalne gorące kąpiele siarczano-mufowe. Rezultaty niezrównane. Urządzenie łazienek i hoteli zakł. od najskromniejszych aż do wykwintnych. Wiadomości udziela Dyrekcja Kap. w Piszczanach, na Węgrzech, albo D-r Teichmann, zimą Kraków, latem Piszczany.

MIŁUJĄCYM ZDROWIE! poleca:
Okulary i Binokle z najlepszymi szklami, wzrok wzmacniającymi po rb. 1.20, Mikrofony dla głuchych, Oliwa usuwająca szum uszny flakon rb. 1.50, Bandaże elektryczne usuwają rupturę, nie kępują ruchów od rb. 6, Przepaski higieniczne Venus, Diana i poduszeczki dla dam od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań i panów w dobrym gatunku. Cennik specjalny bezpłatnie, wyłącznie w zakładzie Michała Pik, Warszawa, ulica Miodowa Nr 1.

J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

LECZNICA DLA DZIECI

D-ra Juliana Gawrońskiego

Plac Ś-go Aleksandra 18 (róg Brackiej),
telefon 40-33. Przyjęcia od godz. 9 do 11 rano. Porada 50 kop.

MARIENBAD „Haus Hamburg”
dr. St. Benedykt Kwiatkowski, b. I Asystent kliniki chorób wewnętrznych Uniwersytetu Jagiellońskiego, ordyn. od 1 maja do 1 października.

Zakład Fotograficzny JANA RACZYŃSKIEGO

ZOSTAŁ PRZENIESIONY

NOWY-ŚWIAT 19, w pałacu hr. Kossakowskich. Telefon 104.63.
Zakład wykonywa wszelkie zamówienia, wchodzące w zakres fotografii i malarstwa.

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają BRONZY Magazyn Krakowskie Przedmieście № 15 dom Hrabiego J, Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF. Współredaktor literacki Artur Oppman (Or-Ot). Kierownik artyst. Józef Holewiński. Sekr. red. Stefan Gorski. Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2. — Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa

BIBLIOTEKA WRÓBLEWSKICH.

Lit.

J.

Nr 1291.

Dział III.

Półka

18

071

LIETUVOS MOKSLŲ
AKADEMIJOS BIBLIOTEKA



002 00250798 3

Lietuvos TSR Mokslų Akademijos
CENTRINĖ BIBLIOTEKA

P. 3130/1908

Lietuvos
P. 3130
1908